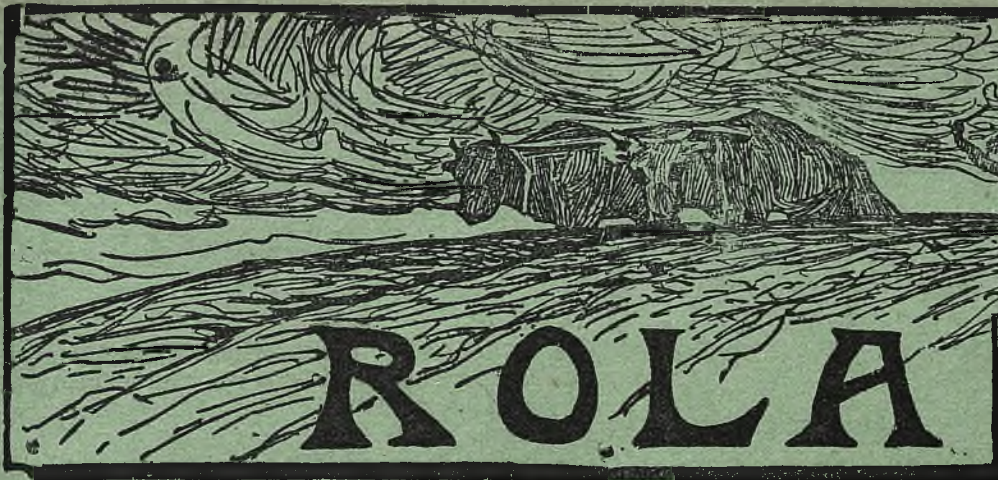
Numer 23. Nał. poczt. opł. rycz. Dnia 5 Czerwca 1927.



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Sielanka wiejska.

Magda skrobie rzepę,
Walek drzewo rąbie,
— Daj gęby, dziewucha!
— A nie chcesz po trąbie?
— Bez coś taka dumna
Jak ekomonowa?
— Bo mi się dziś rano
Ocieliła krowa.

A. D.



Uprzejmość.

Gość (w restauracji). — Proszę mi kazać sporządzić jajecznicę, tylko aby jajka były świeże.

Usłużny garson. — Dobrze, proszę pana. Kucharz rozpuści masło i zawoła kury, żeby zniosły jaja wprost do rondla...



Co to jest kredyt.

— Tatusiu, co to jest kredyt?

— Kredyt to jest rzecz bardzo dobra i bardzo zła. Bardzo dobra wtedy, gdy tobie kredytują, a bardzo zła — gdy ty musisz kredytować.

Dlaczego banki są zakratowane.

— Powiedz mi tatusiu, dlaczego wszystkie banki mają zakratowane okna?

— Zapewne dlatego, aby dyrektorowie zawczasu przyzwyczajali się do krat.



Zrozumieli się.

Doktór: — Ależ mówiłem wam tyle razy, gospodarzu, że stawiać chlewy dla nierogacizny tak blisko domu to bardzo niezdrowo! A jednak nie usłuchaliście mej rady.

Gospodarz: — Ady, panie doktorze, jeszcze mi żadna świnia przez to nie zachorowała.

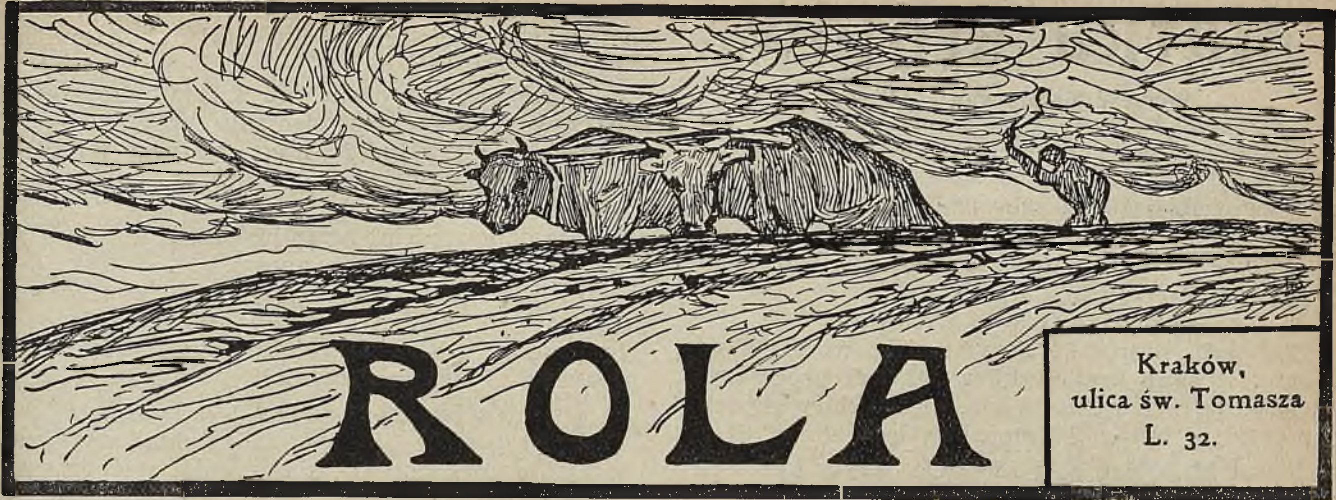


Na wycieczce w górach wstąpił p. inżynier do zagrody i prosił o sporządzenie obiadu. Gdy podano na talerzu wyskoczył kot i natrętnie chciał paskudować.

— Weźcież do licha tego koczura — rzecze inżynier zgniewany.

— Bo to proszę pana on zawsze jada na tym talerzu, więc myśli, że to dla niego — odrzekła gospodyni.

Numer 23. Rok X. Kraków, dnia 5 Czerwca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

W dzień Zielonych Świątek.

Ze setek i tysięcy piersi chrześcijańskich wyrwie się w dniu uroczystości Zesłania Ducha Świętego potężna prośba: »Przyjdź Duchu Stworzycielu, dusz ludzkich nauczycielu i pociesz ludzkość strapioną i wyprowadź ją z błędnego koła, w które zapędziły ją pycha, zazdrość i nienawiść!«

O ile całemu światu prośba ta obecnie jest szczególniej zalecania godną, to przecież w pierwszym rzędzie my, Polacy, powinniśmy ją jak najczęściej i najgoręcej wznosić do Ducha świętego, aby Ten zstąpił na nas, oświecił nas i wyprowadził z koła pychy, zazdrości i nienawiści.

Wszak jesteśmy świadkami tego, co się dookoła nas dzieje, widzimy te ujadania wzajemne, to kopanie dołków jednych pod drugimi, te oczerniania ludzi najniewinniejszych. A dzieje się to wszystko z podszeptów szatana, który, cierpiąc sam piekło w sobie, chce to piekło rozszerzyć i na ziemi.

Modlitwy nam więc do Ducha świętego potrzeba, aby miłość i wieczna zgoda zapanowały w sercach naszych, aby poszept głosu Bożego dotarł do każdej duszy, aby światłość Ducha świętego oświeciła nas do tego stopnia, żebyśmy w uroczystości Zielonych Świątek odczuli się w duchu jako bracia jednej wielkiej Ojczyzny i mogli poznać w całej pełni, jakie zbożne plony wyda ta miłość wzajemna dla całego społeczeństwa, a w pierwszym rzędzie dla nas samych.

Człowiek, który choć na jedną chwilę zaznał rozkoszy, jaką daje uczucie braterstwa, ten nigdy nie obrzuci bliźniego błotem obmowy, ten nigdy nie splami ust swych oszczerstwem, ten nigdy nie skala serca swojego niską nienawiścią.

Dzień Zielonych Świątek, dzień Ducha świętego, powinien być dla nas dniem odrodzenia wewnętrznego, które następnie utrwalać i pogłębiać winniśmy.

Nie wystarczy w dniu tym ustrajać chatki nasze w zieleń i kwiaty, ale uczynić to trzeba z sercami naszymi trzeba je przybrać w kwiaty miłości i zgody, któreby w przyszłości mogły wydać pożądany owoc ogólnego braterstwa wszystkich ludzi na ziemi.

Na pozór wydaje się to jako rzecz nadzwyczaj łatwa, ale w rzeczywistości jest ona bardzo trudna, a tem trudniejsza, że do przeprowadzenia jej przystępujemy z uprzedzeniem, jakoby ona była niewykonalna. A drugą przeszkodą jest i to, że my chcemy świat poprawić, nie poprawiając w pierwszym rzędzie samych siebie. A tymczasem, aby dzieła tego dokonać, nie szukajmy jakichś oddalonych i rozległych horyzontów, ale spojrzyjmy najpierw w głąb własnych serc naszych i wyrwijmy z nich corychlej wszystko zielsko, jakie się tam zakorzeniło, wyrzućmy precz wszystkie chwasty, a zasiejmy same wonne i barwne kwiaty wzajemnej miłości. Jeżeli każdy z nas w ten sposób postąpi, reszta sama się złoży.

Nie zapominajmy jednak, że człowiek jest słaby i ułomny, że sam bez Bożej pomocy niemal niczego dokonać nie może. A pamiętając o tem, będziemy wiedzieli, do kogo o tę pomoc zwrócić się należy. Najlepsza ku temu sposobność to dzień Zielonych Świątek, to dzień Ducha świętego, Tego Pocieszyciela, Oświeciciela i Krzepiciela słabych serce ludzkich. Zwróćmy się do Niego w dniu tym uroczystym i prośmy, aby nam dał moc, męstwo i wytrwanie, byśmy mogli w pierwszym rzędzie pokonać własne złe nałogi, byśmy stali się sami przyjaciółmi ludzkości, byśmy byli budowniczymi nowego życia na ziemi.

A jeżeli szczerze będziemy prosić, to nietylko nam da Duch święty łaskę zgody i miłości, ale zleje ją na ogół ludności, tak dziś na wrogie obozy rozszarpanej.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

15. Sąd.

W wielkiej izbie krakowskiego zamku pierwszych dni 1428 roku zgromadzili się poważni mężowie, którzy naówczas więcej, niż sam król Polską rządzili i władali.

Jagiełły nie było w stolicy.

Na czele najpotężniejszy z nich, wódz i głowa, Zbigniew biskup krakowski, w szatach uroczystych, z twarzą do nich zastosowaną, męża, który się czuje posłannikiem bożym i tłómaczem jego słowa.

Przed biskupem stał klęcznik okryty kobiercem bogatym, a na jego pulpicie złocisty krzyż i oprawna, w okuciu sadzonem kamieniami i emaljami ozdobna księga.

Oczy siedzących wkoło drzwi, dotychczas zapartych zwracały się ku niemu, na krzyż, na ewangelję i zdawały zachodzić łzami. To znamię zbawienia miałoli być przebaczenia godłem czy potępienia?

Ciche kroki, powolnym pochodem, jakby orszak pogrzebowy się zbliżał, zaszemrały od strony drzwi wielkch; drgnęli wszyscy i poruszyli się niespokojni.

Podwoje ręka jakaś niewidzialną rozwarła szeroko, a na ziemi ukazał się szereg postaci, na których czele z majestatem królowej, nie z pokorą oskarżonej, szła Sonka, cała w szatach ciemnych, w rąbkach czarnych, jak wdowa. Zasłona na pół przejrzysta od czoła zwieszona, okrywała ją całą.

Szła spokojna, mężna, śmiała. Parami za nią szły matrony i niewiasty strojne, klejnotami okryte, a w twarzach ich widać było przejęcie tą uroczystością jakąś tajemniczą, w której udział brać miały. Postępowały jakby wchodziły do świątyni — strwożone, onieśmielone, zawstydzone, podnosząc oczy na oczekujących panów, którzy na widok królowej z siedzeń powstali.

Nikt im nie towarzyszył.

Zbliżyły się aż ku klęcznikowi, a biskup wziął kartę przygotowaną i głosem cichym, ale wyraźnym począł czytać rotę przysięgi. Z ręką na ewangelji królowa odmówiła ją za nim, niezmieszana, spokojna... Niewiasty, które królowej towarzyszyły, powtórzyły też samą przysięgę, ucałowały krzyż i ewangelję.

Wejrzeniem wdzięczności pełnem, Sonka podziękowała biskupowi, gdy już odchodzić miała, zachwiała się nieco, krótka chwila siły jej wyczerpała, lecz wnet odzyskała moc i krokiem pewnym udała się nazad ku podwojom zamkniętym. I znowu niewidzialne ręce otwarły je przed nią, cały orszak niewieści znikł za niemi.

Zaczęli wychodzić wszyscy, żegnając Oleśnickiego, który w przedsieni oczekującemu kapelanowi oddawszy krzyż i stułę, sam poszedł do królowej. Czuł, że w chwili tej słowa pociechy i pokrzepienia potrzebować może.

— Ojcze mój — rzekła głosem zmienionym — winnam ci wiele, nie opuszczajże mnie jeszcze! Są ludzie, co cierpią za mnie i dla mnie niewinni. Ja za nimi przemówić nie mogę, aby się nie podać w podejrzenie. Przemów za nimi ojcze...

— Słusznem to jest, — rzekł Oleśnicki — ale do dworu napowrót przyjmować ich nie można. Nagrodzić, co ucierpieli, znajdzie się zręczność.

— Król? — zapytała się Sonka.

— Doniosę mu o wszystkiem; — spodziewam się pojednania i zgody. Choćby winien był, przebaczyć mu należy...

— Nie dam mu uczuć nawet, żem była przez niego pokrzywdzoną — odpowiedziała królowa. — Wina nie jego — złych ludzi i nieprzyjaznego mi Witolda. Ten za to nawet mścić się zechce, iż zgubić mnie nie mógł.

Nie odpowiedział na to biskup. Kilka słów pociechy zakończyło krótką rozmowę.

Król był zawczasu o wszystkiem zawiadomiony; czuł potrzebę zbliżenia się do królowej, ale obawiał się wymówek, a wiedział, że dawne pożycie potem przesileniu bolesnem powrócić nie mogło.

Biskup nakłaniał go do powrotu, Jagiełło się ociągał.

Przyrzeczenie biskupa, który miał wyjednać uwolnienie uwięzionych, nie rychło spełnionem być mogło...

Innym, których trzymano nie w tak ciężkiem więzieniu, niewola była lżejszą; zapomniany nieco Hincza, już z barłogu swego na dnie wieży chęcińskiej nie powstał... W pierwszych dniach pobytu zuchwalszy, rozdrażniony starł się był ze starostą, który tem surowiej go trzymał, żadnej ulgi nie dając, i odgrażając się, że nie ujrzy światła bożego, zgnić tam i zdechnąć musi. Głód, chłód i powietrze, tęsknica i zwątpienie, zupełna nieświadomość o tem, co się na świecie działo i jaki był los królowej w końcu złamały tak Hinczę, że już Boga tylko o śmierć prosił.

Zwątpił już był całkiem o sobie, gdy dnia jednego w tej porze, o której mu jego chleb i wodę stróż po drabinie znosił, albo na sznurze spuszczał, otwarły się drzwi całe i znany głos starosty chrypliwy i zły, począł nań wołać: aby sobie jeśli chce i może, precz wychodził.

Hincza zrazu to za szyderstwo przyjął, a gdyby i uwierzył w oswobodzenie, tak już był złamanym, że o swojej sile powstać nie mógł.

Pomimo osłabienia podniosła go nadzieja oswobodzenia, która cudów dokazuje. Pacholę więzienne, czasem ukradkiem posługujące mu, spuściło się do niego po drabinie.

— Wstawajta, bo przyszedł rozkaz uwolnić!

Hincza się przeżegnał, Panu Bogu i patronce swej Pannie Najświętszej dziękując, potem spróbował wstać i rozprostować się, lecz takie go boleści porwały we wszystkich członkach, że krzyknął i omdlały na barłóg padł...

W tejże chwili doszedł go znajomy głos z góry, Jaszka z Koniecpola, który będąc wolny, a dowiedziawszy się, że Hinczę uwalniają, zbiegł do Chęcin zobaczyć go pierwszy i kłócił się ze starostą.

Ten zaraz po drabinie wgłąb się spuściwszy, gdy przyjaciela w takim stanie zobaczył, na czem świat stoi, Chęciny i starostę wyklinać zaczął. Przed nim w smrodzie i zgniliźnie leżał biedny Hincza z twarzą koloru ziemi, w odzieniu poszarpanem, ledwie żywy.

Trzeba go było coprędzej z tego dołu wyrwać, na powietrze wynieść, do łaźni nieść, nakarmić, ogrzać i położyć na spoczynek.

Musiał go pod ręce wlec, bo się na nogach biedaczysko nie mógł utrzymać. Tu mu wina z korzeniem grzano, kubek jeden i drugi, potem polewką mięsną nakarmiono, okryto, aż zasnął.

Król długi czas Kraków omijał, choć pragnął zajechać, aby synów widzieć, a z królową znowu zacząć żyć po bożemu, lecz wstyd go i obawa jakaś brała.

Wiedział, że jużci przy pierwszem spotkaniu wyrzutów będzie musiał słuchać, odpowiadać na nie,

płaczu się napić i niewieścich skarg uszy mieć pełne.

Gdy dano znać o przybyciu Jagiełły, królowa wdziała te szaty ciemne, do których teraz była nawykła, jak przy żałobie, wszelkich się wyrzekając klejnotów i z wielką powagą, bez łzy prawie, bez widocznego wzruszenia wyszła naprzeciw pana do przedsieni.

Jagiełło przybywał z trwogą, cale co innego przewidując, nie to, co go spotkać miało... Blady, drżący, uskarżając się na znużenie, wszedł do komnat z królową razem i wydał się jej przez tych kilkanaście miesięcy nad miarę postarzałym.

Przed nim stał starszy synaczek, a na ręku piastunki młodszy do kolan mu się schylał.

Królowa przemówiła tylko prostemi kilku słowy, aby na dzieci był łaskaw. Tuż obok niej musiała też dorosła już, kilkunastoletnia Jadwiga, przyjść ojca powitać.

Cała ta rodzina, dawno niewidziana, jakiemś uczuciem przejęła starca. Począł ściskać Władka naprzód, Kazimierza małego potem, a na ostatku Jadwigę, którą znalazł wyrosłą znacznie, ale bladą i mizerną.

Sonka stała z boku, dla siebie ani żądając nic, ani starając się zwrócić jego uwagę. Z obawą niekiedy król rzucał na nią wzrokiem nieśmiałym i natychmiast czemś się zajmował innem, aby odroczyć rozmowę, której się lękał. Zdała mu się ona nieuniknioną.

Wyprowadzono chłopców, wyszła królewna wejrzeniem nienawistnem zmierzywszy macochę.

Do wieczerzy nie zasiadł nikt, oprócz Sonki i króla. Mowa była o łowach, podróży, potem o Witoldzie, na którego król się uskarżał i o królu rzymskim, który zdradził Jagiełłę, przerzuciwszy się całkiem na stronę litewskiego księcia. Królowa więcej słuchała, niż mówiła...

Coraz bardziej ośmielający się Jagiełło, nie mogąc doczekać się rozprawy, którą rad był przebyć, sam ją zagaił, okazując żal wielki, iż się dał Witoldowi uwieść, aby mu teraz krolowa zapomniała uraz, a dawną swą miłość przywróciła.

Z chłodną krwią skłoniła się Sonka przed mężem, ale gdy poczęła mówić, ani łez, ani gniewu w głosie jej czuć nie było.

— Nie mam — rzekła — urazy żadnej, żal mój przeszedł, Witoldowi tylko przebaczyć nie mogę, bo on był sprawcą wszystkiego...

Poczem oświadczyła się z wdzięcznością i posłuszeństwem dla króla, lecz Jagiełło uczuć mógł, iż chłodny mur jakiś stał między nimi.

Królowa wprędce wyszła, a od ochmistrza swojego dowiedział się Jagiełło, że wbrew dawnemu obyczajowi, wedle którego izby obojga królestwa, gdy na zamku się znajdowali, wspólne były, królowa pozostała w swoich komnatach, i oświadczyła, że przenosić się nie będzie.

Znaczenie tego rozbratu chłodnego zrozumiał Jagiełło i, nie nalegając, zastosował się do woli Sonki. Odtąd więc mieli być małżeństwem z imienia tylko, nie żyjąc już z sobą.

Pochlebiał sobie król, że w czasie pobytu w Krakowie, zmienić się mogą stosunki. Nazajutrz był poufalszym i czulszym, usiłując dawną śmiałość i swobodę odzyskać, w Sonce jednak znalazł taki poważny chłód i pokorę jakąś przesadną, a w mowie taką wstrzemięźliwość, iż wyrzec się musiał zupełnego przejednania.

Skarżył się na to przed biskupem Zbyszkiem, który zlekka ramionami poruszywszy, radził to zostawić czasowi i królowej słuszność przyznawał. Nie chciała być narażoną na nowe podejrzenia, na nowe kłótnie i pojednania. Lepiej więc było żyć w zgodzie zdaleka od siebie.

Król widząc, że z żoną do dawnego pożycia nie wróci, smutny zabierał się już w podróż zwykłą na Miechów do Wielkopolski, a stamtąd do Wiślicy i Sandomierza, gdy jednego poranku do leżącego jeszcze w łóżku, wedle zwyczaju, na starość coraz upartszego, weszła królowa, niosąc Kazimierza na ręku.

Starała się ona zawsze w ciągu tego pobytu męża, choć żyć z nim nie mogła, okazywać mu twarz wesołą, a nigdy najmniejszą wymówką i przypomnieniem przeszłości nie zdradzić.

Usiadłszy przy łożu, gdy on weselsze wejrzenie zwrócił ku niej i ku dziecięciu, Sonka odezwała się:

— Jedziecie tam, gdzie się do was siła ludzi zjeżdżać będzie, gdzie łatwo ich sobie zjednać. — Synowi waszemu starszemu, pókiście żywi trzeba zapewnić następstwo. Później trudniej będzie się dobijać o nie. Dziś jeszcze mówią o Mazowieckich książętach i Piastach swych, jako o równe z naszemi dziećmi mających prawo do tronu.

— Szlachta chce nowych przywilejów — odezwał się król z westchnieniem, — a dosyć ich ma i tak, by nam pokoju nie dawała i berło wytrącała.

— Dajcie im, czego chcą — odparła królowa — król, który daje, odebrać też może... będzie-li miał siłę, ale królem naprzód potrzeba być...

W kilka dni potem opustoszał znowu zamek na Wawelu, królowa i królewna zostały same.

Przez czas pobytu swego stary król oswoił się z nowym stosunkiem do żony, która nie czyniąc mu wymówek, nie okazując żalu wrócić już do pożycia z nim chciała. Uznał może, iż miała słuszność, a rad był iż wyszedł prawie bezkarnie z tego zamętu, jaki mu Witold zgotował... Łowy i podróże zwykłe, — rozerwać go miały. Sprawy państwa zdawał na biskupa i wojewodę.

Hincza, gdy tylko przyszedł do zdrowia i z braterskiego domu mógł ruszyć, udał się na zwiady za Straszem. Szło mu o pomszczenie królowej najprzód, potem siebie... Zbierał więc dawnych towarzyszów, komorników, sługi i urzędników zamkowych, którzy przeciwko zdrajcy świadczyć mogli.

Chociaż na dworze mu się pokazywać zabronionem było, do Krakowa mógł jechać, kiedy chciał. Przybył też tu z zamiarem naradzenia się z ochmistrzem dworu, Malskim. Znał jego przywiązanie do Sonki i gotowość stawania w jej obronie...

Wieści złośliwe ustały były wprawdzie i ludzie nie śmieli powtarzać starych potwarzy, Hinczy jednak zdawało się, że wyprzysiężenie się nie starczyło...

Malski szczególnie, mający nabożeństwo do N. Panny różańcowej, chadzał często do ks. Dominikanów — tu u wejścia czekał nań Hińcza...

Gdy go powitał, z początku ledwie poznać go mógł ochmistrz i dopiero z głosu przypomniał. Od więzienia w Chęcinach, Hincza był wielce zmieniony, cały jakby nabrzękły, ciała nabrał i zestarzał.

— Że mnie, wasza miłość, starego sługi, nie poznajesz, nie dziwuję się — rzekł Hincza. Jak Piotrowin z grobu powstałem i zapomnieć o tem nie mogę, com w tym grobie w Chęcinach wycierpiał... Jako człek rzetelny nie chciałbym Straszowi za to być dłużnym... Mniejsza zresztą o mnie — ciągnął dalej — przebaczyłbym dla ran Chrystusowych krzywdę własną, ale łez i sromu królowej naszej darować nie mogę.

— A cóż myślisz? — rzekł Malski.

— Nie dosyć na tem, że królowa przysięgła — zawołał Hincza. — Działo się to na zamku, mało kto wie, a wielu ramionami rusza. Sądu na oszczercę potrzeba jawnego. Królowa o swą cześć się upomnieć powinna, potwarcy to nie może ujść bezkarnie.

— Po cóż sądem tym wznawiać, co zapomniane? — rzekł ochmistrz.

— Nie zapomniana to, ani skończona sprawa. Bóg mi świadkiem — mówił Hincza gorąco. Siedzę w Krakowie kilka dni, a com się przekąsów i gadek niepoczciwych nasłuchał, tego na wołowej skórze nie spisze. Mówcie wy, miłościwy panie, królowej niech każe tego łotra pozwać. Świadków i dowody znajdziemy, niech głową nałoży, niech poprobuje tego, co mnie niewinnego spotkało... Do Chęcin go, a na dno.

Ochmistrz dumał długo, widać było, że nie zgadzał się na to, co Hincza wnosił, obawiając się niepotrzebnego rozgłosu...

— Obawiać się nie potrzeba rozgłosu większego jak jest i był — dowodził Hincza — owszem na jaw, na jasny dzień wyprowadzić wszystko... a mało tego, że potwarca odszczeka, niech krwią zmaże plamę.

Pomimo gorących nalegań, Malski spokojniejszego ducha mąż, wytrawny, nie przystał na to, czego się Hincza domagał.

Ten go o mało po rękach nie całował.

— Ja do królowej dostąpić nie śmiem — rzekł — choćbym nogi jej ucałować pragnął, więc o nic was nie proszę tylko o jedno: powiedzcie jej, że ja ją błagam, aby sądu się domagała, niech strach padnie na złych. Witold swojego sługi teraz, gdy sam jest w opałach, bronić nie może. Nie zemsty, ale sprawiedliwości dopominać się trzeba... tylko sąd jasny tę sprawę raz na zawsze rozstrzygnąć potrafi i zmyć plamę.

Aż do bramy zamkowej, prowadząc tak Malskiego, nalegał Hincza, prosił i słowo na nim wymógł nareszcie, iż królowej powie, co od niego słyszał. Ale ochmistrz rzekł mu, kończąc:

— Powiem, nie bój się, ino to masz wiedzieć, że ja radzić nie będę, ale odradzać. Licha, gdy śpi, budzić nie potrzeba.

— A dać lichu grzędę, — zakończył Hincza — wlezie na głowę!

(Ciąg dalszy nastąpi).

FR. LIPIŃSKI.

Wawrzek Dybczak.

(Nowela). (Ciąg dalszy).

Pożarów w mieście od kilku lat nie było. Ćwiczenia odbywano co pół roku, zwoływano alarmy, ale po krótkim takim alarmie, po wyciągnięciu sikawek, drabin zakurzonych i hydrantów — ułożono napowrót w dawne miejsce. Okręgowy inspektor Straży ogniowej rzadko przyjeżdżał na kontrolę. Spoczywały wszystkie przyrządy, aż czarna nuda je ogarniała. Każdy dzień i miesiąc był bez wrażeń, bez życia. Czasami tylko siadało na budzie straży krzykliwe ptactwo i śpiewało pieśni o nowych, dalekich lotach, w zaświaty.

SCENA II.

Hankę zbudziło słońce poranne. Wstała rzeźka i wesoła. Dziś właśnie ma być jedyny dzień w życiu, najpiękniejszy lub może najsmutniejszy. Tylko nie wiedziała, jak z rodzicami zacząć o Wawrzku rozmowę. Obmyślała najodpowiedniejszą porę. Z rana nie mogła mówić o nim, przy obiedzie nie wypada, popołudnie jest najodpowiedniejsze, gdy zasiądzie do maszyny, a matka będzie obierać fasolę.

— Hanuś — gdzieś była wieczorem? Poszliśmy późno spać, a ciebie nie było — zapytał ojciec. Hanka zmieszała się tem zapytaniem ojca. Na twarz wybiegły rumieńce.

— Byłam na spacerze trochę...

— A z kim?

— Z Burkiem!

— Ładnego masz towarzysza... Mnie się zdaje, że to towarzysz inny. Mówią ludzie, że chodzisz z jakimś mężczyzną.

— Podobno z policjantem — wtrąciła matka.

— Kto wie, kto to jest — odrzekł ojciec.

— Przyznaj się — wyrzekła tkliwie matka.

Hanka milczała, patrząc na ojca i na matkę. Walczyła z sobą — trudno jej było przełamać się. Musiała się przyznać w końcu, jeżeli już tak otwarcie o tem mówią.

— Kto to wam mówił? — zapytała.

— My wiemy z dobrych źródeł — odrzekli.

— Tylko sąsiedzi...

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi — odrzekł z przekąsem ojciec.

— Podobno policjant, czy kolejarz...

— Nie, to porządny chłopiec — jest na posadzie miejskiej, wprawdzie ze wsi, ale bardzo dobry i kochamy się od roku.

— I tyś nam o tem nie mówiła? — wyrzekła zdumiona matka.

— Mnie się zdaje, że to czysta blaga — rzekł ojciec.

— To nie wiedziałam Hanuś, że ty tajemnie możesz kochać jakiegoś człowieka, o którym nic nie wiemy i nie znamy go.

— Widzę, że tu zakrawa na mały skandal. Niech cię Bóg broni, bo gdy się dowiem coś niedobrego, kiepsko z nami będzie córko!

Ojciec miał złość w oczach. Uniósł się i zamilkł na chwilę, chodząc po stancji tam i z powrotem.

Hanka pobladła ze strachu. Ostatnie słowa ojca biczowały ją, jakby nahajką. W domu zaległo martwe milczenie. Patrzyli na siebie, nic nie mówiąc. Po chwili Hanka, zbierając się na odwagę i widząc pewne uspokojenie u rozbudzonego do złości ojca — wyrzekła:

— Nie bójcie się o mnie. Wstydu wam nie zrobię. Jestem młoda, ale posiadam rozum, i nie potrafiłabym się splamić. Znam go od roku, kocham go bardzo i dziś właśnie, wieczorem, przyjdzie poprosić was o moją rękę. Poznacie go jaki to przystojny i dobry człowiek. Nie słuchajcie ludzi. Ludzie o bliźnich swoich najgorzej mówią.

— Dzisiaj do nas przyjdzie? — zapytała zdziwiona matka. — E, to być nie może...

— Tak. Postanowił prosić was o moją rękę. Nie odmówcie mu.

— Jesteś zamłoda na żonę — odezwał się ojciec.

— Minęło mi dwadzieścia lat...

— Zrobisz tak, jak ja każę — wyrzekł stanowczo ojciec.

— Nie bądźcież tacy hardzi rodzice. Musicie mu dać stanowcze słowo. Ja muszę o tem wiedzieć, czy go przyjmiecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZWYCZAJE NA ZIELONE ŚWIĄTKI.



Zielone Świątki, to bardzo miłe, bodaj najweselsze ze świąt, naszych całego roku. Przypadają zazwyczaj w porze, w której wiosna panowanie swe już wszędy rozpostarła, rozesłała kobierce z ziela i wszędzie rzuciła promienie, blask i ciepło słońca, które doszły do zamków, pałaców, domów, chat i mieszkań ubogich, rozniecając radość i wesele. Na taką to porę piękną przypadają „Zielone Świątki". To też wszyscy się niemi cieszymy: tak młodzi, jak i starzy a lud wiejski obchodzi bardzo uroczyście te święta. Dziewczęta stroją domy w kwiaty i różną zieleń, drzwi chat i wrót w zielone gałęzie, a na podłogach rozścielają tarak

Po wielu okolicach w Zielone Świątki rozpoczynają palić ognie sobótkowe. Zabawa ta, zabytek z przedchrześcijańskich czasów, trwa aż do wigilji św. Jana. To też pieśni sobótkowe, brzmią, stos płonie, a młodzież w pląsach przesadza płomienie. To jest noc czarów, noc sobótkowa.

Około Pińska w Zielone Świątki ubierają dziewczynę w suknię z gałązek brzozy na kształt płaszcza, a inne dziewczęta jej towarzyszą przy śpiewie i tańcu W wyobraźni ludu ukraińskiego, w noc wigilji Zielonych Świątek leśne boginie Rusałki, rozpoczynają swe zabawy i swawole, a biada człowiekowi, gdy wpadnie w ich ręce. Zaczepione długiemi warkoczami o konary dębów huśtają się swobodnie, strasząc podróżnych, znajdujących się w lesie tej nocy. Albo rzucają się na podróżnego z dzikim śmiechem i dopóty go łaskoczą, dopóki nie wyzionie ducha. W pewnej miejscowości paśli parobcy konie w lesie w Zielone Świątki. Pojawiły się im rusałki w postaci pięknych dziewczyn wiejskich, a tak ślicznie śpiewały, że się serce rozpływało temu, kto ten śpiew słyszał.

Podaję jedną z piosenek, które rusałki śpiewały, zastawiając swe sidła na pięknych parobków, wabiąc ich do siebie:

W noc księżycową milczącą senną,
Chodźże chłopczyno, chodźże ty ze mną.
W gąszcz paprociowych wilgotnych piór,
W zaczarowany uśpiony bór!

W tę noc cudowną, głuchą, tajemną,
Chodź mój kochany, chłopczyno zemną.
Kędy wśród smukłych, żywicznych pni,
Tak się o szczęściu i różach śni!

Chłopcy odróżnili rusałki od wiejskich dziewoji, ponieważ rusałki miały zielone włosy, to też nie zwabiły dzielnych parobczaków.

Wiele pięknych pieśni i dumek lud nucił, ale czas zatarł je w pamięci. Dziś wyrzec możemy z jednym z wielkich naszych poetów, Zaleskim:

Że te dumy z laty, przerzuciwszy długie chwile,
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile.

Maryśka z Kamionki.



Juz nam się trochę ta nasa gospodyni uprzykrzyła. Nam, to jest gospodarzowi i mnie. Strapienie ino z nią i strapienie. Od świtania do samego połednia miele gębą i miele, raz na gospodarza, to zasię na mnie i znowu na odwyrtkę: raz na mnie, drugi raz na gospodarza. Padam ja tedy gospodarzowi, zebyśmy się umówili i gospodynię se zmienili, toby było całkiem inacej.

Gospodarz, ze to człek okrutecnie ućciwy, ino se krztynkę na wszyćkie boki westchnęli i padają:

— I nie wódź nas na pokusenie, ale nas zbaw od złego. A coby pedzieli na to jegomość, coby ona sama baba pedziała? Juściby nawet przez sen gębowała, a człek miałby jesce więkse strapienie!

— Obałwanieliście! — ja jem na to. — Jakze was zbawię ode złego jak was nie będę wodził na pokusenie? Zeby was zbawić to was musę najpierw namówić. Bo jakbym pirwej zbawił, to potem nie trza byłoby namawiać! Bo zwazcie ino sami, ze to z wszyćkiem na świecie jest całkiem inacy, a z babą inacy. Uprzykrzy ci się hadera, to ją sprzedas Mośkowi na smaty i koniec. Uprzykrzy ci się nieprzymierzając bydlątko w oborze to je das do ślachtuza i twoje uprzykrzenie sie skońcy. I tak ze wszyćkiem, a ino z babą inacy. Jak cię raz przy untarzu ucepi, to ani jej rus od siebie odcepić. Zydowi nie sprzedas, bo jej nie kupi, dziadowi nie podarujes, bo jej nie weźnie na pole nie wyścigas, bo sie pasła nie będzie. Kiedyś ją raz pojął, trzymać musis, cy chces, cy nie chces. I ma tu być dobrze na świecie!

Jagem se tak za siebie i za gospodarza rozwazał, zuźreli mnie gospodyni i padają:

— Maciek! posedbyś spać, bo się juz słonecko schowało, a skoda lajpy la takiego poturadła, jak ty, po próźnicy świecić.

— Spać? — powiadam. — A niby z kim?

— Widzicie go — gospodyni na to. — Zachciwa sie mu psi wiarze wcorajsych grusek na wirzbie. A widziałeś ty, zeby takie bydlę, jak ty, z kim spało. Nie pleć pleciug, ale zwijaj ogon pod siebie i jazda na wyrko!

Co było robić, kiedy się gospodarz jesce na odmienienie gospodyni nie zgodzili, trzeba było słuchać tej temcasem, która była, nim sie insa trafi. Poskrobałem się więc osiemdziesiąt razy za uchem i ze jezdem bardzo posłusny człowiek, nim gospodyni dośli do połowy swojego gadania, juz chrapałem jak siedmioletnie cielę u Powrózkowy. Ale jescem się dobrze na drugi bok nie obrócił a tu juz gospodyni padają:

— A wstawałbyś, hyclu, jakisik, bo juz słonecko dawno zza Bartkowy stodoły wylazło!

— Kazaliście spać, to śpię — padam jem na to — ale wam nigdy nie recht i sami swojego kazania nie dotrzymujecie, ino je do góry ogonem na wszyćkie boki cięgiem obracacie!

— Nie pyskuj, urwipołciu — padają gospodyni — ino wstawaj i suruj do roboty!

Ha co było robić! Jak się człek z gospodynią w garści urodzi, to jej musi słuchać i kuniec. Na przysły raz, jak sie będę rodził, to nie urodzę sie inacej, ino jegomością. Bo jegomość, jak się jem gospodyni uprzykrzy, to nie potrzebują się nikogo pytać, ino sami ją na śtyry wiatry wywalą i posukają se innej, która się jem jesce nie uprzykrzyła. A człek sam nie da rady, ino się musi pytać gospodarza, a kuzdy gospodarz zeniaty, to fujara, na której mógłbyś całe godzinki wygrać.

Kazali gospodyni wstawać, to trzeba było wstawać i ani godzinka cała nie upłynęła, jak byłem zupełnie fertig do roboty. A i robota to nie taka znowu całkiem głupia rzec. Z nią nieraz człowiek prędzej da se radę nawet, jak ze spaniem. Bo spanie to juz jest całkiem taka dla siebie ekstra rzec. Spis i więcej nic! A z robotą to se ta człek da prędzej radę. Bo bywa i tak, ze niby to robis, a jak ci się zechce, to i podrapać sie wszędzie mozes, a spodoba ci sie, to i drzymkę co pare minut choćby na pół godziny urządzić se mozes. Robota więc nie strasna rzec, a i przy niej, jak człek niegłupi, to se moze zycie urozmaicić.

I wszyćko byłoby dobrze na świecie i ludzie byliby sceśliwi, gdyby ino gospodynie mozna zniść. Ja wiem, ze nima chłopa na świecie, któryby tego nie pragnął, a ino mało takich odwaznych, jak ja, zeby o tem otwarcie powiedział. Ale nic to! Ja nie trace nigdy nadzieji! Znieśli niewolnictwo, znieśli pańscyznę, to i do tego przyjść musi, ze jak człek bedzie chciał, to se i gospodynię odmieni. A jak te casy przyjdą, to padam wam, ze się tyle ślubów nakoci, ze se z niemi sami jegomość nie będą mogli dać rady, ale będzie jem musiał i pan organista pomagać, co daj Panie Boże jak najprędzej, amen! A wtedy to się i ja ozenię nawet kilka razy.



Cóż pomoże?

Cóż pomoże człowiekowi, choćby góry złota miał —
Jeśli duszy brak spokoju, który złotem kupić chciał.

Jeśli duszę prześladuje widmo ciężkich krzywd i win;
Jeśli duszę zwolna truje trwogi i zgryzoty płyn.

Jeśli jego duszę splamił nieszlachetny, niski czyn;
Jest dla swoich, dla swej ziemi jako marnotrawny syn,

Cóż pomoże człowiekowi, choćby całe wieki żył —
Jeśli będzie w ciągu życia gdyby jedną z martwych brył.

Jeśli z tłumem nie przyłoży do budowy gmachu rąk;
Nie pomoże przebić mroków, co zaległy ziemię wkrąg...

Nie obetrze z bliźnich oczu ani jednej krwawej łzy;
Nie usunie, chociaż może, z dusz niszczącej bolu rdzy.

Jeśli brata nie nakarmi, gdy u proga z głodu mrze,
A miłości przykazaniu — uczynkami w oczy łże.

Cóż pomoże człowiekowi, choćby zdobył cały świat —
Gdy zostawił poza sobą niespłaconej krzywdy ślad!

Albatros.

BIELANY POD KRAKOWEM.

W każdym kościele odbywa się przynajmniej raz na rok większy odpust, na który z całej okolicy przybywają wierni, aby pomodlić się, a także spotkać ze znajomymi i nieco rozweselić.

Takiem miejscem odpustowem pod Krakowem są Bielany, wioska oddalona o 9 km. od miasta, w której znajdują się kościół i klasztor OO. Kamedułów. Klasztor ten wznosi się na wysokiej górze (326 metrów nad poziom morza), zwanej »srebrną«, którego założycielem był Mikołaj Wolski, marszałek wielki koronny za Zygmunta III w r. 1604, pochowany w roku 1630 przy drzwiach kościoła.

Jan Kazimierz, król polski, patrzał z Bielan na pożar Krakowa w 1655 r. August II bawił tu przez 4 dni w roku 1706.

Kobietom dozwolony jest wstęp do klasztoru tylko raz do roku, a mianowicie dnia 19 czerwca.



Obrazek nasz przedstawia wnętrze klasztoru, w którym wśród pięknego ogrodu znajdują się maleńkie domki z celą dla każdego zakonnika.

Bielany, a właściwie kościół i las, otaczający go, nawiedzają w dzień Zielonych Świątek liczne rzesze mieszkańców Krakowa. Jedni modlą się i słuchają kazań, inni natomiast oddają się rozrywkom, jakie są tu przygotowane dla przybywających. Wszędzie panuje żywy ruch, słychać też wesołe śmiechy i rozgwary.

List.

Chciałem, Najdroższa, napisać do Ciebie
list pełen wielu najczulszych wyrazów,
abyś go miała i w każdej potrzebie
nim się broniła od bolesnych razów,
jakie w tem życiu spotykać Cię mogą
i ranić srodze Twą duszyczkę drogą.

Bo choć nas żaden nie łączy sakrament,
to sakramentem są uczucia nasze. —
Już wziąłem papier, pióro i atrament,
myśl mą przeniosłem w Twe ciche poddasze
i chciałem pisać u Twojego boku,
czerpiąc natchnienie w Twem anielskiem oku.

Lecz próżnom folgę myślom moim dawał
i chciał je wszystkie wypisać dla Ciebie,
bo w mojem sercu uczuć taki nawał,
że ono biedne samo nawet nie wie,
od czego zacząć spowiedź swą serdeczną
i jak Ci miłość opowiedzieć wieczną.

Więc choć list chciałem napisać koniecznie
i wypowiedzieć wszystkie myśli moje,
i to kochanie, co trwać będzie wiecznie,
i tego szczęścia przeogromne zdroje,
które mi dajesz Twojemi oczęty,
list mój pozostał dotąd nie zaczęty.

Stanisław Kamyk.



Życzenie.

Do pamiętnika Pelasi D.

Nad trumną moją niech nikt nie płacze,
Niech tylko jęczą mi wichrów uploty,
I siwy sokół w błękitach zakracze,
Nad trumną moją, krzyk łzawej tęsknoty.

Nad trumną moją niech mi nikt nie płodzi
Łez, co rzęsiście po świecie rozsiano...
Prędzej przekleństwo niech się w ustach zrodzi
I wiecznej wzgardy zapomnienia wiano.

Ja nie chcę skargi, co tchnie blagą słowa
I krakających, kruczych modłów świata.
Niechaj mię grabarz w samotni pochowa,
A chwasty rosną na grobie przez lata!

Ja nie chcę płaczu, co bywa zmyślony —
Ja chcę tej drwiny, co gniotła mię wcześnie.
Niech mi nie dzwonią — rozpętane dzwony,
Niech tylko wicher zanuci boleśnie...

— — — — — — — — — —

Niech przyjdzie ona, co mi wierną była
Ona, samotna w białych sukien wzorze.
I rzuci grudę w dół, przepaść bezmierną,
I powie słowa: „Bądź mu litościw Boże!..

Paweł Kubisz.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Nie będziemy tu powtarzali dalszej rozmowy znajomego naszego Bena z Johnsonem; wszystko, co opowiadał chłopak o napadzie Indjan na osadę, znane nam jest oddawna. Wspomnimy tylko w kilku słowach, jakim sposobem Ben wymknął się z rąk Pawnisów owego poranku, gdy okrutna ta zgraja wpadła do domu. Stracił zupełnie głowę i pędził wprost przed siebie póki mu sił starczyło, to jest do samego wieczora, nie myśląc nawet o obraniu jakiegokolwiek kierunku. Gdy padł pod drzewem na ziemię, znużenie jego było tak wielkie, że pomimo trwogi i zgryzoty usnął snem kamiennym; nazajutrz, przebudziwszy się, znowu poszedł dalej w głąb puszczy, nie zastanawiając się nad tem, dokąd tym sposobem zajść może. Zabłądził więc tak samo jak i Dik, a po dwudniowej wędrówce z podziwieniem i przestrachem znowu ujrzał przed sobą zgliszcza spalonego domu; rozumie się, że już tu nie zastał ani ojca i brata starszego, ani Dika. Na szczęście, tak samo jak i tamten, zabrał ze sobą strzelbę i amunicję, mógł więc od czasu do czasu zastrzelić jaką zwierzynę i surowem mięsem uchronić się od śmierci głodowej. Biedny chłopiec po raz drugi puścił się w las bez żadnego zastanowienia; przypadek zrządził, że zwrócił się na południe, podczas gdy Dik podążył na zachód. Tym razem Ben nie błądził długo, gdyż tegoż samego wieczora spotkał się z Johnsonem.

Poczciwy myśliwiec natychmiast odprowadził zmęczonego i wycieńczonego chłopca do obozu, gdzie don Ramon i Karmela jak najtroskliwiej się nim zajęli. Nie mogąc mu dać innych dowodów przychylności, postanowili zabrać go ze sobą w dalszą drogę, na co Ben przystał z największą radością. Cóż miał uczynić, nie wiedząc zupełnie, co się stało z resztą jego rodziny? Don Ramon kazał zdjąć pakunki z jednego z koni jucznych i rozłożyć je na inne, ażeby Ben miał wierzchowca.

Nazajutrz gromadka wędrowców puściła się w dalszą drogę. Jechano jeszcze dni kilka, aż w końcu ujrzano przed sobą głęboki, długi wąwóz, na którego dnie na znak Johnsona karawana się zatrzymała, on zaś sam jeden puścił się dalej w kierunku jego ujścia. Gdy w parę godzin powrócił, był jeszcze więcej niż zwykle nachmurzony.

— Syn pański — rzekł do don Ramona — nie był jeszcze tam wcale, gdzieśmy się zejść mieli. Nie pojmuję, co mu przeszkodzić mogło w dotrzymaniu słowa... W każdym razie musiał to być powód bardzo ważny.

— Więc pan sądzisz — mówił don Ramon — że mój syn niezawodnie, wcześniej lub później, przybędzie do tego wąwozu?

— Najniezawodniej. Jestem tego tak pewny, jak tego, że jutro dzień nastąpi po nocy. Nie wyobrażaj pan sobie, że my myśliwcy i wędrowcy leśni żartujemy z danego słowa, jak mieszkańcy miast. Możemy wybrać sobie w okolicy wygodniejsze miejsce na dłuższy pobyt i czekać cierpliwie, a już on nas niezawodnie znajdzie.

— Cóż mam robić, panie Johnsonie, muszę cię słuchać we wszystkiem.

Stanęli wkrótce na owem miejscu, wybranem przez doświadczonego myśliwca na dłuższy pobyt w puszczy. Było to na skraju tegoż samego rozległego stepu, na którym zabłądzili Cezar z Dikiem w kilka tygodni później. Mijały dni i tygodnie, czwarty już się rozpoczął, a o Rafaelu nie było ani słychu. Ojciec i siostra coraz więcej się o niego niepokoili, a nawet i Johnson zaczynał tracić tę pewność siebie, z którą w początkach wspominał o przybyciu przyjaciela.

Na kilka dni przed ową smutną przygodą Cezara i Dika na stepie, wyruszyli także myśliwcy z obozu w nadziei, że im się uda zastrzelić parę żubrów, brakło już bowiem świeżego mięsa w obozie. Tym razem jednak polowanie się im nie powiodło; nietylko żubrów, ale i żadnej innej zwierzyny nie napotkali.

Zapóźno już było dnia tego, aby szukać stada po stepie; wskutek tego myśliwcy odłożyli to do jutra, tymczasem zaś rozłożyli się na nocleg. Ale niemiły przypadek popsuł im wszystkie plany: skutkiem nieostrożności Sandowala ogień, rozłożony raniutko dla przyrządzenia śniadania, zapalił suchą trawę i płomienie tak szybko ogarnęły znaczną przestrzeń, że nie było co myśleć o gaszeniu pożaru.

— Teraz już po żubrach — mruknął Johnson — mocno niezadowolony i zgorszony takiem niedbalstwem Sandowala. Ale nie było na to rady.

Myśliwcy przebyli jeszcze kilka godzin w tem miejscu, przyglądając się pożarowi i z przykrością widzieli, że ogień rozszedł się bardzo daleko. Dopiero gdy zagasł zupełnie, wsiedli na koń i stępą podążyli w stronę obozu. Jechali tak czas jakiś bez wielkiego pośpiechu, w tem ze zdziwieniem usłyszeli szczekanie psa. Podjechali bliżej i zobaczyli postać ludzką, leżącą na ziemi. Postać ta na ich widok nawpół się podniosła, a był to, jak już czytelnicy odgadli zapewne, nie kto inny, jak znajomy nasz Dik Wattson.

20. Dzikie konie.

Że don Ramon i jego towarzysze troskliwie zajęli się biednym chłopcem, o tem nikt zapewne nie wątpi. Don Ramon dziękował Bogu, że mu pozwolił obu tych chłopców uratować i wielbił to cudowne zrządzenie Opatrzności, która rozdzielonych połączyła.

Myśliwcy chcieli zaraz Dika posadzić obok siebie na którym z wierzchowców i spieszyć do obozu, lecz chłopak oparł się temu stanowczo, za nic nie chcąc opuszczać przyjaciela swego, murzyna, a don Ramon, wysłuchawszy jego opowiadania, pochwalił to postanowienie.

— Rzecz prosta, że nie możemy tego biedaka pozostawić na śmierć pewną w tem pustkowiu — rzekł — musimy odszukać murzyna.

— A ja zaraz powiem — zawołał Dik uradowany — jakim sposobem go odszukamy z łatwością.

— No, no, patrzcież państwo, kurczę chce być mędrsze od kury — zaśmiał się Ruperto.

— Ten pies — mówił dalej Dik, nie zważając na żart starego — przyuczony był do tropienia murzynów. Sułtan niezawodnie nas doprowadzi do przyjaciela mego, Cezara, który nie mógł odejść daleko, bo także był bardzo osłabiony.

A! to co innego — zawołał Ruperto — czemużeś odrazu nie wspomniał o psie.

— Nie traćmyż czasu — ozwał się don Ramon.

— Psisko jest tak wycieńczone i zmęczone, że niedaleko zajdzie — rzekł Sandowal; — mam tu trochę

wody we flaszce, napoję biedak, raźniej potem pobiegnie.

Stary myśliwiec napoił psa z dłoni, czem go tak orzeźwił, że Sułtan podskakiwać zaczął wesoło. Dik wówczas wymówił kilkakrotnie imię Cezara, znakami dając roztropnemu zwierzęciu do zrozumienia, aby szukało murzyna. Po chwili Sułtan z nosem spuszczonym ku ziemi puścił się żwawo w kierunku, w którym Cezar odszedł, rozstawszy się z towarzyszem.

— Siadaj tu koło mnie — rzekł Johnson i podniósłszy chłopca, jak piórko, posadził go przy sobie na koniu.

Przejeżdżano obok kilku małych kępek drzew i krzewów kolczastych, i przy każdej spodziewano się nakoniec zastać murzyna; nadzieja jednak zawodziła raz po raz. I otóż znów jeźdźcy ujrzeli przed sobą drzewa, lecz zauważyli zarazem, że ponad niemi w powietrzu krążyła gromada sępów. Ptaki spuszczały się niekiedy niżej, dotykały skrzydłami wierzchołków drzew, za każdym razem jednak unosiły się znowu i krakały wysoko w powietrzu.

— Chyba padlina jaka leży pod drzewami — rzekł Sandowal.

— Głupstwo — mruknął Johnson — gdyby to była padlina, toby sępy na niej siedziały. Murzyn musi tam leżeć.

— O, mój Boże! on już może nie żyje! — zawołał Dik żałośnie.

— Głupstwo także — powtórzył myśliwiec — gdyby nie żył, toby żarłoczne ptactwo nie traciło czasu, ale ono zawczasu czyha na ucztę, gdyż bardzo jest przezorne i przewidujące.

— O, spieszmy, spieszmy, zlituj się pan — błagał chłopak — okropneby to było, gdybyśmy przybyli zapóźno.

— Zapóźno nie będzie, mam nadzieję, ale i nie zawcześnie — mówił myśliwiec, spinając konia ostrogami.

Sułtan także coraz spieszniej biegł ku tym drzewom, nareszcie gromadka jeźdźców się zatrzymała.

— Jest, leży tam nieborak! — zawołał don Ramon, wskazując ręką murzyna, wyciągniętego pod drzewem.

— O Boże wielki! nie powstaje nawet, chociaż powinienby nas już zobaczyć i usłyszeć... — wołał Dik przerażony.

— Nie powstaje, ale rękoma porusza, więc żyje — rzekł Sandowal.

— Zdaje się, że porusza rękoma nieprzytomnie, opędzając się od drapieżnych ptaków, których krakanie mu dokucza — mówił Johnson.

Zsiadłszy z koni, jeźdźcy zbliżyli się do murzyna; Dik wyprzedził wszystkich i przykląkł obok przyjaciela, któremu Sułtan lizał ręce. Cezar otworzył oczy, spojrzał błędnie i znowu je przymknął, machając rękoma.

— Wody, wody, on kona! — wołał żałośnie Dik i objąwszy murzyna ramionami, okrywał go pieszczotami, powtarzając z płaczem: — Cezarze, Cezarze, przyjacielu mój najdroższy, to ja, Dik, ocknij się, przemów do mnie!

Tymczasem wszyscy otoczyli biedaka. Don Ramon podniósł mu głowę, a Johnson wyjął flaszkę, napełnioną wodą i zbryzgał nią twarz omdlonego, poczem zaczął mu zwilżać usta spieczone gorączką, wlewając w nie ostrożnie po parę kropel wody. Po długich staraniach murzyn otworzył wreszcie oczy i napił się chciwie; jeszcze chwilę leżał nieruchomy, w końcu spojrzał przytomnie dokoła, a gdy wzrok jego zatrzymał się na Diku, uśmiech rozjaśnił mu twarz poczciwą.

— Dik! — szepnął ledwo dosłyszalnym głosem, a jednak ileż w tym jednym wyrazie było głębokiego uczucia, ile radości z wybawienia przyjaciela.

Cezar wkrótce przyszedł do siebie i mógł opowiedzieć ostatnie swoje przygody. Były bardzo proste, świadczyły jednak o niezmordowanych usiłowaniach poczciwca, który poświęceniem własnego życia pragnął był uratować młodszego i słabszego towarzysza. Przez kilka godzin krążył po stepie i gdzie tylko dostrzegł drzewka lub krzaczek, szukał upragnionej wody, a szukał jej nie tyle dla siebie, ile dla Dika, o nim jedynie myśląc podczas tych poszukiwań. Nakoniec padł bezsilny pod drzewami i powstać już nie był w stanie; wkrótce też stracił przytomność i sam nie wiedział, jak długo tam leżał.

Dwaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie i teraz dopiero zrozumieli w całej pełni, jak okropnej śmierci uniknęli. Serca ich z uczuciem niewymownej wdzięczności zwróciły się ku Temu, którego Opatrzność tak widomie czuwała nad nimi i uratowała ich od tylu strasznych niebezpieczeństw, w tylu przygodach wspierała ich swoją pomocą.

Johnson tak doskonale był obeznany ze stepem, że ani razu nie zmylił drogi; jechano jednak tak wolno, że nad wieczorem dopiero jeźdźcy dotarli do okolicy, gdzie już śladów pożaru nie było i ujrzeli przed sobą przejrzyste nurty rzeki, w której Johnson poznał jeden z większych dopływów Arkansasu. Postanowiono tutaj zanocować, ażeby dwaj znużeni i osłabieni wędrowcy wypoczęli należycie. Siedząc przy ognisku, Cezar i Dik opowiedzieli i dawniejsze swoje przygody, przyczem z uwielbieniem największem wspominali o białym myśliwcu, wybawcy i opiekunie obu.

— Jak się nazywa ten człowiek, który wam tyle dobrego wyświadczył? — zapytał nagle Johnson, zrywając się z miejsca, jakby nową jakąś myślą tknięty.

— Serce prawe — odpowiedział Dik. — Czy go pan znasz może?

— Czy ja go znam! — wykrzyknął myśliwiec — ale mówcież prędzej, gdzie on się obraca, czemu go niema w tych stronach?

Chłopcy opowiedzieli w krótkości wszystko, o czem czytelnicy nasi oddawna już wiedzą.

— Czemuż ta wiadomość nie doszła do mnie wcześniej! — wykrzyknął myśliwiec, podnosząc ręce w górę — my tu siedzimy, czekamy, wyglądamy go tak niecierpliwie, a on tam życie naraża i krew przelewa w obronie uciśnionych.

— Co pan mówisz? — odezwał się don Ramon zdumiony — cóż to za jeden, ten myśliwiec, którego nazywacie Sercem prawem? Wszak my tu czekamy na mego syna, Rafaela de Saavedra?

— Don Ramonie — odrzekł Johnson z pewną goryczą — zabroniłeś pan synowi nosić swego nazwiska, więc mu dajemy inne, zdobyte własną zasługą.

— Jakto? ten myśliwiec, o którym chłopcy mówią z takiem uniesieniem, to syn mój, Rafael?

— Rozumie się. Przyjaciele jego Indjanie dali mu to imię tak stosowne dla niego, Serce prawe. Myśliwcy i traperzy nazywają go także „Pogromcą tygrysów“, bo zgładził z tego świata niezmierne mnóstwo jaguarów, gdy przebywał w Meksyku i innych krajach pogranicznych.

— O mój Boże! więc on teraz może narażony jest na tysiączne niebezpieczeństwa w walce z krwiożerczymi Pawnisami, a my tu siedzimy bezczynnie, zamiast spieszyć mu z pomocą! Nie traćmyż ani chwili czasu!

— Nie tak nagle, don Ramonie, nie tak nagle — uspakajał Johnson rozgorączkowanego ojca — jeszcze przybędziemy w porę. W każdym razie i ja nie myślę ociągać się dłużej niż potrzeba z odjazdem, bo radbym uściskać przyjaciela jak najrędzej.

— Musimy przedewszystkiem zaopatrzyć się w zapasy żywności — mówił — jutro więc, mojem zdaniem, powinniśmy się wybrać liczniejszą gromadką na polowanie.

Don Ramon musiał w końcu przyznać słuszność doświadczonemu myśliwcowi, który znał dobrze puszcze i stepy, i bezwątpienia najlepiej wiedział, w jakich warunkach można odbywać dalekie wędrówki na tych niezmierzonych przestrzeniach.

Nazajutrz gromadka jeźdźców wyruszyła z obozu przed wschodem słońca, wkrótce jednak się rozdzieliła; jedni pod wodzą Johnsona pojechali szukać żubrów, drudzy skierowali się w inną stronę, gdzie spodziewali się napotkać stado koni. W tym drugim oddziele znajdował się don Ramon z córką, oraz trzej nasi młodzieńcy.

Dik wkrótce spostrzegł na stepie świeże ślady kopyt końskich; jechano za temi śladami z pół godziny, gdy nagle peon przystanął i wyciągnąwszy rękę, wskazał jakiś oddalony przedmiot, wołając:

— Tam, tam są, już je mamy!

— Ale cóż ty tam widzisz? — pytał don Ramon, który daremnie wzrok wytężał, patrząc w stronę wskazaną.

— Jakiś ruch tam widać, ojcze — odezwała się Karmela — wygląda to tak dziwnie, jakby las, gwałtownym wichrem miotany. Czyżby to miało być stado koni? — zapytanie to zwróciła do peona.

— A tak, panienko — odrzekł — i wcale piękne stado.

— Musi tam być najmniej trzysta koni — mówił tymczasem Cezar do Dika.

— A czy złowisz dla mnie konika? — spytał chłopak — wiem, że potrafisz wybrać ładnego.

— Wybrać potrafię i złowię z ochotą — odpowiedział murzyn — nie wiem tylko, czy Dik na takim koniu pojedzie, bo na to trzeba być doskonałym jeźdźcem.

Podjechano tymczasem do owego stada tak blisko, że już z łatwością rozróżnić można było każdego konia.

— Ależ one wcale na nas nie zważają — mówił Dik.

— I nie będą zważały — odrzekł Cezar — póki nie usłyszą wyraźnie odgłosu kopyt naszych wierzchowców, nie mają bowiem bystrego wzroku.

— Rozdzielmy się, nie najeżdżajmy na nie całą gromadą — zakomenderował stary peon.

Dzikie konie spostrzegły wreszcie najeżdżających, nie okazywały jednak zbytniej obawy i nie spieszyły z ucieczką. Duży, przepyszny koń kary, pasący się w niejakiem odaleniu od reszty stada, najpierwszy głowę podniósł, dmuchnął rozwartemi nozdrzami, parsknął, kopnął ziemię przedniemi kopytami i zarżał głośno. Natychmiast wszystkie inne konie paść się przestały; jedne po drugich podnosiły łby i rżały, jakby hasło, dane przez przewodnika, przechodziło przez wszystkie szeregi. Po chwili całe stado poruszyło się; piękny karosz szedł na przedzie, — lecz nie była to wcale ucieczka. Przeciwnie, dzikie konie postąpiły ku jeźdźcom, jakby szły na ich spotkanie, i dopiero znacznie zbliżywszy się już do nich, zwróciły się na prawo; i teraz jednak nie uciekały, tylko poczęły galopować, zakreślając wielkie koło naokoło gromadki jeźdźców.

— Stać teraz na miejscu, nie ruszać się! — półgłosem komenderował stary peon — zsiadać z koni i ukryć się za niemi.

Rozkazy te szybko przechodziły z ust do ust i śpiesznie wykonane zostały. Całe stado krążyło tak blisko naszych łowców, że mogli doskonale obejrzeć każdego pojedynczego konia.

— Niechże teraz każdy upatrzy sobie jednego konia, który mu się najlepiej podoba — odezwał się stary peon — już pora się zbliża, zaraz rozpoczniemy łowy.

Z szybkością błyskawicy jeźdźcy wskoczyli na konie, a łowcy, unosząc w rękach lassa i bolasy, jak wicher puścili się po stepie i pognali za upatrzonemi mustangami. Całe stado jednym chórem zarżało, lecz teraz w rżeniu tem brzmiała trwoga i dzikie konie poczęły umykać we wszystkie strony.

Murzyn miał ciągle wzrok utkwiony w karoszu, przewodniku, który biegł i teraz w potężnych susach i raz po raz głośnem rżeniem wzywał towarzyszy do śpiesznej ucieczki. Cezar, Ben i Dik jechali wszyscy trzej na wybornych wierzchowcach, don Ramon wybrał bowiem do tej podróży najlepsze konie ze swych stajen. Nietylko murzyn, ale i obaj bracia nie pozostali w tyle za stadem i coraz więcej zbliżali się do pięknego karego ogiera. Ale ten dotychczas widocznie zwalniał biegu, nie chcąc reszty stada odstąpić; teraz zaś spostrzegłszy grożące z bliska niebezpieczeństwo pomknął nagle jak strzała.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Nawozami zielonymi nazywamy rośliny umyślnie na to zasiane, aby ziemię znawozić przez przyoranie takowych. Niektóre rośliny gromadzą na korzeniach znaczne ilości azotu. Czynią to rośliny motylkowe, jak seradela, eksparceta, bobik, łubin, koniczyna i inne. Rośliny zaś uprawne, zwłaszcza zboża muszą mieć azot już gotowy do pobierania w ziemi, aby mogły się normalnie rozwijać. Chcąc siać nawozy zielone, musimy dobierać rośliny stosowne do gatunku ziemi. I tak: na ziemiach ciężkich siejemy wykę, bobik, koniczynę lub nostrzyk żółty. Na lżejszych łubin niebieski i biały i koniczynę. Na piaszczystych łubin żółty, niebieski, seradelę.

U nas najczęściej sieją gospodarze seradelę lub łubin. Seradeli, jako nawozu używa się pod wszelkie gatunki zbóż tak zimowych, jak i okopowych, a w ziemiach lekkich i piaszczystych dobrze działa pod okopowinami. Nie lubi ziem ciężkich, gliniastych. Sieje się ją wczesną wiosną w zboże, a rośnie i rozwija się dobrze dopiero po zebraniu zboża. Podczas kwitnienia zabiera najwięcej azotu z powietrza wtedy więc jest najodpowiedniejszy czas do jej przyorywania. Seradela jest zarazem rośliną, dającą smaczne i pożywne siano. Daje jeden pokos i pastwisko. Wymaga starannej i głębokiej uprawy i oczyszczenia pola z chwastów. Jeśli jest przeznaczoną na siano, zbiera się ją pod koniec kwitnienia. Zbiór nasienia jest dość uciążliwy, gdyż dojrzewa niejednostajnie, ale ziarno seradeli posiada wielką wartość pastewną i jest wy-

borną paszą dla krów dojnych. Należy je dawaćześrutowane do 2 kg. dziennie.

Łubin bywa również uprawiany dla różnych celów, ale głównie jako nawóz zielony. Rzadziej bywa używany na paszę zielnoą i to dla owiec, natomiast odgoryczone ziarna łubinu stanowią dobrą karmę dla bydła. Łubinu mamy kilka gatunków: u nas jako nawóz sieją najczęściej żółty i niebieski, gdyż ten rośnie silnie i rozkrzewia się. Jest łubin bardziej polecenia godnym, jako nawóz zielony, niż wszystkie inne, zwłaszcza dla gospodarstw mniejszych, udaje się bowiem na najuboższych gruntach, a to dzięki zdolności przyswajania sobie pokarmów tak z powietrza, jak też i z ziemi. Dlatego można go do najszacowniejszych roślin zaliczyć dla ubogich piaszczystych ziem, na których inne rośliny bez poprzedniej uprawy łubinu zupełnie się nie udadzą. Rola musi być pod łubin dobrze spulchnioną, gdyż brak przewiewu jest dla niego szkodliwy. Przy sianiu, najlepiej rzędowem, przykrywać nasionka bardzo płytko, gdyż kiełki potrzebują do zejścia wiele powietrza.

Wprawdzie łubin nie jest w stanie zastąpić nawozu stajennego, to jednak w wielu wypadkach stanowi, zwłaszcza przy uprawie ziemi piaszczystej najskuteczniejszy sposób użyźnienia i poprawy roli.

Ważną jest rzeczą, aby pamiętać, że łubin wsiany pierwszy raz w ziemię musi otrzymać pewną ilość bakterji, które zamieszkując na korzeniach i pobierając potrzebny im do życia azot, zbierają większe ilości tegoż na zgrubiałych częściach korzenia. — W tym celu należy rozrzucić po tej roli parę szufli ziemi z miejsca, gdzie łubin już poprzednio rósł, bo ziemia taka ma dużo potrzebnych bakteryj.

Aby osiągnąć dobre rezultaty przy uprawie nawozów zielonych, musimy dobrze znać czas, kiedy należy nawozy te przyorać. Mamy cztery takie okresy, a mianowicie: 1) czas kwitnienia łodygi głównej; 2) czas zawiązywania się na niej strączków; 3) kwitnienie łodyg bocznych i 4) dojrzewanie strączków na głównej łodydze.

W czasie tych okresów roślina jest najbogatszą w sole mineralne. Im starsza tem mniej azotu zawiera w łodydze i korzeniu, a tem więcej w strączkach. Największą siłę nawozową ma łubin w okresie trzecim i czwartym i wtedy należy go po zwalcowaniu przyorać. Wprawdzie w czwartym okresie łodygi łubinu są trudniejsze do rozłożenia, ale strąki łatwo się w ziemi rozkładają, oddając jej cały zapas nagromadzonego tu azotu.

Siejąc na nawozach zielonych zboże, można już żadnych nawozów nie dodawać, ale gdy łubin bardzo rozrośnięty, należy go przed przeoraniem silnie zwalcować i tak przy orce ziemią przykryć, by nie wystawał nad powierzchnię i aby równo był przykryty ziemią, a wtedy dobrze się rozłoży.

Jan Matysik.



Człek poznał ziemię i olbrzymie morza,
Że odtąd nigdzie zawodu nie dozna;
Wkrótce zdobędzie i sine przestworza,
Ale kobiety nikt nigdy nie pozna!

A. St. B.

Wiadomości polityczne.

Prezydent Mościcki w Tarnowie. W ubiegłą niedzielę przyjechał do Tarnowa z Krynicy samochodem prezydet Mościcki na poświęcenie sztandaru 16 pułku piechoty. Podczas drogi i w samem mieście ludność okoliczna witała go nadzwyczaj serdecznie.

O zwołanie sejmu. W ubiegłą sobotę odbyła się w Warszawie konferencja przedstawicieli klubów sejmowych. W konferencji wzięli udział posłowie Niedziałkowski (PPS), Głąbiński (endecja), Stroński (chrześc.-nar.), Kaczyński (chadecja), Kiernik i Dębski (Piast), Bagiński (Wyzwolenie) i Popiel (NPR). Omawiano sprawę zwołania Sejmu w drodze wniosku poselskiego. W dalszym ciągu poruszono sprawę zmiany konstytucji w kierunku umożliwienia Sejmowi rozwiązania się mocą własnej uchwały. Przyjęto wniosek Popiela, że odpowiednia zmiana konstytucji przez Sejm będzie dokonana, o ile bezpośrednio po niej ma nastąpić uchwała o natychmiastowem rozwiązaniu Sejmu. Pewnego rodzaju niespodzianką było stanowisko posła Głąbińskiego, który dotychczas odnosił się krytycznie do myśli rozwiązania się Sejmu. Obecnie Głąbiński oświadczył imieniem endecji, że przeciw takiemu wnioskowi o rozwiązanie Sejmu oporu nie będzie. W dalszym ciągu konferencja zgodziła się, że zachodzi konieczność wyjaśnienia w drodze ustawy, iż członkowie armji nie mają czynnego prawa wyborczego w jakichkolwiek wyborach.

Podatek majątkowy. Dnia 28 maja odbyło się w Warszawie posiedzenie Rady finansowej, na której postanowiono znieść jednorazowy podatek majątkowy, a wprowadzić stały podatek majątkowy. Podatek ten wynosiłby 4 pro mille, a przy majątkach wartości poniżej 15 tysięcy złotych tylko 3 pro mille.

Pożyczka dla Polski. Delegaci konsorcjum amerykańskiego przybyli do Warszawy celem podpisania umowy o pożyczkę dla Polski. Podpisanie umowy nastąpi do 10 dni.

Soejaliści a rząd. W niedzielę obradowała w Warszawie Rada naczelna P. P. S. Uchwalono żądać jak najszybszego rozwiązania sejmu i rozpisania nowych wyborów. Rada naczelna P. P. S. oświadczyła się przeciw obecnemu rządowi i uchwaliła go zwalczać.

Wybór prezydenta Czech. W piątek dnia 27 maja dokonano wyboru nowego prezydenta Czech. Został nim poraz trzeci 71 letni Tomasz Masaryk. Wyboru tego dokonano wbrew przepisom konstytucji czeskiej, która wyraźnie zastrzega, że prezydentem nikt nie może być wybrany dwa razy. Co do Masaryka zrobiono tu wyjątek i, jak się zdaje mąż ten będzie już do śmierci prezydentem. Wyjątek ten zrobiono dlatego, aby uczcić w ten sposób Masaryka jako właściwego twórcę państwa czeskiego.

Zerwanie Anglji z Rosją. Po rewizji w Towarzystwie sowieckim „Arcos“ w Londynie, podczas której znaleziono wiele dokumentów, świadczących, że bolszewicy rozwijają w całej Europie żywą akcję, zmierzającą do wywołania przewrotu we wszystkich państwach, Anglja wystosowała do Rosji notę, w której zawiadomiła ją o zerwaniu z nią stosunków dyplomatycznych. Wskutek tego dyplomaci rosyjscy będą musieli opuścić Anglję, a angielscy Rosję. Zastępstwo interesów rosyjskich w Anglji objęły Niemcy, a zastępstwo interesów angielskich w Rosji Norwegja. Bolszewicy bardzo są niezadowoleni z tego zerwania, lecz Anglja nic sobie z tego nie robi.

KRONIKA.

Prymas Polski kardynałem. Na tajnym konsystorzu został arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, ks. Hlond, mianowany kardynałem.

Ujęcie niebezpiecznego bandyty. Z Sędziszowa donoszą: Dnia 25 maja b. r. około godziny 5 rano patrol policyjny, prowadzony przez przodownika Fr. Gawlika, a tropiący resztki bandy, niedawno zastrzelonego Józefa Paśki, schwytał jednego z najniebezpieczniejszych członków tej bandy, Józefa Bokatę z Rzegocina. Bandyta, osaczony przez policję, ukrył się w domu Jana Majki w Kawęczynie Sędziszowskim. W krytycznym dla siebie momencie, Bokata usiłował wyskoczyć przez okno, lecz zorjentowawszy się, że o ucieczce nie może być mowy, cofnął się w głąb domu i ukrył się w komorze. Policja wkroczyła do wnętrza domu, a odszukawszy bandytę, wezwała go do poddania się. Bokata usłuchał, podnosząc ręce do góry. Równocześnie aresztowano właściciela domu Majkę. Obydwu odstawiono do sądu powiatowego w Ropczycach. Bokata wzbraniał się początkowo podać swoje nazwisko, legitymując się dokumentami niejakiego Andrzeja Czabaja z Glinika w pow. ropczyckim. Ostatecznie jednak przy konfrontacji z szeregiem osób, które aż nadto dobrze znały Bokatę z jego bandyckich występów, przyznał się do swego nazwiska. Wypiera się jedynie w dalszym ciągu jakiegokolwiek związku z bandą Paśki.

Szajka bandytów na Podhalu. W ostatnich dniach dokonano szeregu kradzieży, a to włamania do szynku Magiery w Nowym Targu, następnie do probostwa w Klikuszowej, gdzie skradziono gotówkę, ubrania oraz rewolwer z nabojami, łącznej wartości ponad 1.500 zł. Dalej ograbiono z gotówki sklep D. Kriegera w Klikoszowej, zaś w nocy z dnia 19 na 20 z. m. włamali się nieznani sprawcy do sklepu Skarskiego w Ponicach. Właściciel sklepu usłyszawszy podejrzane szmery i zobaczywszy bandytów zamknął ich w szynkowni, ci jednakże steroryzowawszy go strzałami rewolwerowymi, zdołali umknąć pod osłoną nocy, unosząc ze sobą łup, w postaci dziennego utargu. W tym czasie usiłowano również dokonać kradzieży u dwóch gospodarzy w Skomielnej Białej koło Chabówki.

Samobójstwo Dra Baczyńskiego. Ze Lwowa donoszą: W poniedziałek przed południem targnął się na swoje życie Dr Włodzimierz Baczyński, znany działacz ukraiński Dr Baczyński poderżnął sobie gardło brzytwą w łaźni św. Anny przy ul. Akademickiej, przedtem zaś usiłował otruć się kwasem solnym. W groźnym stanie odwieziono go do szpitala, gdzie wkrótce zmarł. Pogrzeb jego odbył się, przy udziale tłumów publiczności tak ruskiej, jak i polskiej ludności. Dr Baczyński był jednym z tych mądrych Rusinów, którzy pragną zgody z Polakami.

Burze gradowe na Pokuciu. Tymi dniami nad całem Pokuciem przeszły wielkie burze gradowe, które wyrządziły olbrzymie szkody. W niektórych miejscowościach spadł grad wielkości orzecha włoskiego. Specjalnie ucierpiała północna część powiatu kołomyjskiego, oraz powiat Horodenka, gdzie zasiewy zostały całkowicie zniszczone, a w najlepszym razie straty obejmują od 20—30 procent obszarów uprawionych. Na całych rozległych przestrzeniach żyto i pszenica przedstawiają obraz zupełnego zniszczenia, z pól obficie spływają wody, podsycone ciągłemi ostatniemi opadami. Wszystko to wróży obecnie duży nieurodzaj na Pokuciu.

Pod gruzami chóru kościelnego. Z Warszawy donoszą: W czwartek w Wąbrzeźnie podczas procesji zawalił się w kościele parafjalnym chór, skutkiem czego odniosło rany 15 osób, w czem 5 osób doznało połamania żeber i nóg. Rannych umieszczono w szpitalu.

Wypadki kolejowe. W ubiegły czwartek na linji Baranowicze-Wołkowysk koło Jeziornej omal nie doszło do katastrofy kolejowej. Na pół godziny przed przejściem pociągu osobowego zauważyła służba kolejowa poukładane na torze sztaby żelazne i materjały wybuchowe i w niektórych miejscach porozkręcane szyny. Pociąg został w porę zatrzymany. — Na linji Łuków-Lublin na stacji Parczew podczas wjazdu pociągu osobowo-towarowego wykoleił się ostatni wagon trzeciej klasy. — Na stacji Minkowice koło Kowla z nieznanych powodów nastąpiło rozerwanie się garnituru kolejowego. Maszyna pociągnęła za sobą zamiast cały pociąg tylko połowę wagonów. — Czwarty wypadek miał miejsce na stacji Chyrów, gdzie wykoleił się parowóz z nieustalonej dotąd przyczyny.

— Uroczystość Matki Boskiej Gietrzwałdzkiej. Dnia 27 czerwca odbędzie się wielka uroczystość w Warmji z powodu 50-lecia objawienia Matki Boskiej Gietrzwałdzkiej. Objawienie to nastąpiło przed 50 laty w następujący sposób: Dnia 27 czerwca 1877 egzaminował w szkole w Gietrzwałdzie katecheta szkolny, ks. Weichsel dzieci, które miały za kilka dni przystąpić do Komunji świętej. Między temi dziećmi była nieśmiała, chorowita dziewczyna, nazwiskiem Justyna Szafrańska, z Nowego Młyna, parafji Gietrzwałdzkiej. Kiedy dziewczyna wyszła po zdaniu egzaminu na ulicę, spotkała matkę i z nią razem zamierzała udać się do domu. Po drodze opowiadała o katechiźmie i o Komunji św., do której miała za kilka dni przystąpić. Nagle dziewczyna stanęła około dużego klonu, wyciągnęła do niego rączki, pogrążyła się w stan kataleptyczny i zaczęła się do niego modlić. Zaniepokojona matka chciała ją podnieść z klęczek, ale dziewczyna wołała w djalekcie miejscowym: „Czekajciano, matulku, aż łobacze, co to jest bziałe tam na klonie“. Gdy matka spytała, co widzi, dziewczyna zaczęła się wolno orjentować i w poczuciu jakiego wizjonerstwa mówiła: „Zidza coś, co wygląda jakby człoziek. Banda tak długo patrzyć, aż sia gdzie podzieje. Drzewo całe jest jasne, może sią pali, albo co“. Równocześnie nadszedł ksiądz Weichsel, który zastał dziewczynkę w czasie wizji i kazał jej mówić „Zdrowaś Marja“. Po pacierzu, dziewczynka zamiast się uspokoić, zaczęła wołać z radością, że wizja jest coraz jaśniejsza i wyraźniejsza. Wtedy ksiądz spytał:

— Powiedz mi, co widzisz?

Dziewczynka mówiła z radością:

— Widzę taraz przychodzi dzieciątko z nieba w bziałem ziańku na głowie. Dzieciątko kłania sia pannie, a taraz wstaje panna i idzie do nieba z dzieciątkiem po liwi stronie. U gory zidać samé niebo bez obłoków... Już wszystko znikło... Zidziała mocno psiankną panna, a buła żywa. Patrzuła na mnie i na ksiandza, a taka buła jasność, że nimogłam patrzeć. Chciałam krzyczeć, — nimogłam, uciekać tysz nimogłam“.

Po tej wizji dziewczynka zachorowała i odosobniono ją od reszty dzieci. W kilka dni jednak później zaczęły zgłaszać się szeregi dzieci, a nawet dorosłych kobiet, jak Elżbieta Belitewska z Woryt, Katarzyna Wieczorkówna z Nowego Młyna i t. d. i opowiadać o wizji. Wiadomości o zjawieniu się N. M. P. z niezwykłą szybkością rozprzestrzeniały się wśród ludu. Biskupstwo przeprowadziło dochodzenia i zezwoliło na odbywanie pobożnych pielgrzymek do Gietrzwałdy. Pielgrzymki te zaczęły być tak liczne, że w r. 1877 sprzedano 40.000 biletów kolejowych dla udających się na miejsce zja-

wienia się Najśw. P. Marji. Pózniej pielgrzymki te dochodziły do ilości 170.000 pielgrzymów i to z całej Polski. Lud gietrzwałdzki uważa klon, przed którym zjawiła się Najśw. P. Marja, za specjalne miejsce, w którem chorzy zostają uleczeni, a strapieni pocieszeni. Uroczystość Matki Boskiej Gietrzwałdzkiej była również uroczystością narodową i przyczyniła się niemało do podniesienia ducha polskiego wśród ludu warmińskiego.

Śmierć w kancelarji. Bywają figle nieszkodliwe, a zarazem godziwe i nawet dobre, bo rozweselają ludzi. Bywają też tak złośliwe, że przykrość i szkodę przynoszą. Te są złe i potępić je zawsze należy. Ale bywają i takie, które na razie sprawiają wielce niemiłe wrażenie, a wkońcu ten sam, na kogo były wymierzone śmieje się z nich, razem z innymi. Do takich należy właśnie następujący żart.

W pewnym niemieckim gimnazjum był sobie poczciwy woźny, którego chłopaki, studenci bardzo lubieli, ale zawsze sobie żarty z niego stroili. Pewnego wczesnego poranka wszedł ten woźny do kancelarji dyrektora, aby posprzątać, jak to codziennie czynił. Na progu stanął z przerażeniem, jak wryty, ujrzał bowiem siedzącą przy biurku dyrektora... śmierć! Siedziała i pisała coś pilnie na papierze.

Biedny woźny rzucił się do drzwi i pędem pobiegł na drugie piętro do mieszkania dyrektora, wołając co miał siły:

— Dla Boga! Śmierć siedzi u pana dyrektora!

Zbiegła się do kancelarji wszelka żywa dusza z całego gmachu szkolnego. Poszedł dyrektor, jego żona i dzieci, tak samo rodzina woźnego i parobcy szkolni. Dyrektor jednak zobaczywszy ową śmierć, nic się nie zastraszył, tylko podszedł do biurka stołu i popatrzył, co też ona gnatem swoim pisze po papierze? Przeczytał on potem głośno:



— Znudziło mi się stanie w szafie i poszłam sobie na spacer. Dziś nikogo nie zabiorę, bom w dobrym humorze, ale jak mię Michał znowu wsadzi do szafy, to się zgniewam i drugi raz wyjdę jeszcze, ale już po niego...

Michałem nazywał się ów woźny, a w szafie stał zazwyczaj ten kościotrup na to, aby profesorowie uczniom pokazywali na nim, jakie kości ma w sobie człowiek. Któryś z uczniów dał pomysł ustrojenia żartu z Michała, parę chłopaków zakradło się wieczorem do kancelarji, wyjęli kościotrup z szafy i posadzili go przy stole a na papierze wypisali to, co przeczytał głośno dyrektor. Oprócz tego przybili na szafie kartkę z napisem: „Mieszkanie do wynajęcia“, nibyto szafa jest mieszkaniem do którego śmierć wracać nie chce, więc można wynająć innemu.

Podwójne życie montera. Policja monachijska stwierdziła, że monter nazwiskiem Jan Schüller, który znany był jako uczciwy i godny szacunku rzemieślnik, jest w istocie przestępcą, udającym się w nocy na wyprawy rabunkowe. Schüllera schwytano w Norymberdze w chwili, gdy włamywał się do pewnego mieszkania. Skonstatowano, że był on sprawcą 12 włamań w różnych miastach, do których wyjeżdżał dla pracy zawodowej monterskiej. Schüller podejrzany jest również o to, że zamordował w Norymberdze służącą nazwiskiem Lockman, która go schwytała w momencie włamania.

Największa głębokość morza. Prasa berlińska donosi, ze krążownik niemiecki „Emden“ zdołał w czasie podróży z Celebesu do Japonji ustalić największą ze znanych dotąd głębokości morskich, wynoszącą 10.430 metrów. Maksymalne cyfry w tej dziedzinie były 9.700 metrów według pomiarów, dokonanych w pobliżu wysp Filipińskich przed wojną jeszcze. Znany geograf niemiecki, prof. Krebs, twierdzi, że w zachodniej części oceanu Spokojnego można byłoby z pewnością odkryć daleko większe głębiny, posiadające prawdopodobnie zupełnie nieznany świat żywych stworzeń morskich.

Małżeństwo w powietrzu. Doktór Orlovius jest czynnym członkiem-założycielem towarzystwa „Luft-Hansa“ w Niemczech i fanatycznym zwolennikiem lotnictwa, cóż więc dziwnego, że postanowił związać się ze swoją ukochaną dozgonnymi węzłami małżeństwa... w przestworzach niebieskich. Młoda para, dwóch przez prawo wymaganych świadków, oraz niezbędny urzędnik stanu cywilnego zajęli miejsca w dużym samolocie pasażerskim, poszybowali w górę, dopełnili w powietrzu normalnych formalności, cywilnemu aktowi ślubnemu towarzyszących, poczem wrócili na ziemię. Nie na długo coprawda, gdyż zaraz po zjedzeniu obiadu weselnego Dr Orlovius udał się wraz z żoną w podróż poślubną, oczywiście również samolotem.

Straszna pomyłka. Przed kilku dniami zdarzył się w Paryżu przykry wypadek, którego ofiarą najniewinniej padła młoda kobieta, nazwiskiem Lavaud. Wraz ze swym mężem wracała ona z restauracji, w której w radosnym nastroju młode małżeństwo spożyło wieczerzę. Nucąc wesołą piosnkę, dotarli oni do bramy sławnego paryskiego ogrodu „Jardin D'Acclimatation“, lecz zastali bramę jego zamkniętą. Młody Lavaud, zgodnie ze zwyczajem, pociągnął za łańcuch, znajdujący się przy bramie ogrodowej, chcąc w ten sposób zwrócić uwagę stróża nocnego, i poprosić go o otworzenie bramy. Po pewnym czasie istotnie pojawił się stróż nocny i bez namysłu dał strzał w stronę młodej pary. Rozległ się krzyk strasznego bólu, padły słowa: „Co się stało?“ Były to ostatnie słowa wymówione przez młodą panią Lavaud. W kilka minut bowiem później, raniona kulą w serce wyzionęła ducha. Stróż nocny, Stefan Daniel, z wyciągniętym rewolwerem przystąpił do męża ofiary, mówiąc:

— Omyliłem się, myślałem, że to złodzieje.

Pan Lefaud położył swą żonę na trawniku, sam zaś pobiegł do restauracji, w której przed chwilą spożywał wieczerzę w towarzystwie znajomych. Na widok strasznego wyrazu twarzy młodego człowieka, goście restauracyjni przestali tańczyć i rzucili się w stronę przybyłego. Ten powiódł ich do ogrodu, w którym spoczywała martwa już jego żona. Policja ściągnęła protokół ze stróża nocnego. Pokazało się, że jest to inwalida wojenny, który z czasów wojny ma lewą część ciała prawie sparaliżowaną. Przed kilku miesiącami objął on wartę nocną w „Ogrodzie aklimatycznym“ i miał obowiązek otwierania w nocy bramy wszystkim spóźnionym przechodniom, którym przez ogród wypadła droga. W ostatnich dniach jednak zdarzyło się kilka razy, iż

złoczyńcy dostali się w ten sposób nocą do ogrodu. Fakt ten tak przeraził stróża nocnego, iż w spokojnych przybyszach dopatrzył się bandytów. Pomyłka ta sprowadziła tragiczną śmierć młodej kobiety. Daniel został odstawiony na posterunek policji pod zarzutem morderstwa.

Lekarstwo na cierpienia ludzkie. Za kilka dni otwarta zostanie w Londynie tajemnicza szkatułka z drzewa orzechowego, zbita żelaznemi obręczami i opatrzona pieczęcią lakową, na której wyciśnięte są litery I. S. i rok 1777. Przed 150 laty niejaka Joanna Southcott z Gittisham w hrabstwie Devonshire powierzyła Rebece Pengarth tajemniczy skarb, zobowiązując ją przysięgą, iż go nie otworzy i da na przechowanie swym następcom. Po upływie półtora wieku wolno dopiero zajrzeć do wnętrza szkatułki. Gdyby jednak „nawiedziło Anglję wielkie jakieś i wyjątkowe nieszczęście“, pozwala testatorka na wcześniejsze ujawnienie tajemnicy. Skutkiem licznych legatów szkatułka pani Joanny Southcott dostała się w ręce rodziny Morganów, a ponieważ z końcem maja upływa 150 lat od śmierci testatorki, nastąpi przeto otwarcie skrzynki. Testament jednak zastrzega, iż przy tej sposobności musi być obecnych conajmniej trzech biskupów i przedstawicieli państwa. Dziwny ten legat intryguje publiczność angielską i lest przedmiotem ogólnego zainteresowania. Szkatułkę prześwietlono już promieniami Roentgena i dostrzeżono na fotografji kilka kubków, pistolet oraz zwój papierów. Medja spirytystyczne i jasnowidze garną się tłumnie do „Instytutu badań fizycznych“ w Londynie, gdzie odbędzie się akt uroczystego otwarcia. Proroctwa ich jednak są sprzeczne. Jedni utrzymują, iż w papierach znajduje się przepis na „uniwersalne lekarstwo“, leczące wszystkie choroby, inni znów twierdzą. iż testatorka przekazała potomności jakąś formułę magiczną, którą zdobył jej pradziadek od pewnego afrykańskiego czarownika. Wedle tradycyj przechowanych w rodzinie Morganów, pani Joanna Southcott uchodziła za nadzwyczajną osobę i zajmowała się przez całe życie naukami tajemniczemi.

Olbrzymie cygaro. Lord Birkenhead, minister Indji, otrzymał na bankiecie, wydanym przez fabrykantów wyrobów tytoniowych, dar w postaci cygara, posiadającego imponującą długość... 50 centymetrów! — Znawcy wyliczyli, że wypalenie takiego olbrzyma w szybkiem tempie wymaga minimum czterech godzin czasu, przy normalnych zaś pociągnięciach do sześciu godzin. Wobec tego minister Indji wyrzekł się dla braku czasu tej przyjemności i umieścił rekordowe cygaro w swojej kolekcji osobliwości.

Pożarci przez szczury. W Ameryce Południowej, na wyspie leżącej o 40 mil od brzegów Gujany francuskiej, rozegrał się wstrząsający dramat. Na wyspie tej wśród oceanu od lat 25 wznosi się na skale latarnia morska zwana od dawna „Latarnią Trzech Szkieletów“, obsługiwana przez trzech strażników, którzy pełnią służbę na zmianę przez cztery miesiące, poczem udają się na dwa tygodnie wypoczynku na ląd. Ostatnio służbę pełniło tam trzech dawnych marynarzy bretońskich. Z końcem marca pewnej nocy światło nie zostało na latarni zapalone, wskutek czego statek udający się z Gujany holenderskiej do Europy, wpadł na skałę, na której wznosi się latarnia i rozbił się. Na brzegu nie wiedziano o rozbiciu, ale ponieważ w nocy nie zauważono światła z latarni, na drugi dzień szalupa francuska udała się na miejsce, celem zbadania przyczyny. Dostęp do latarni jest dla większych łodzi wprost niemożliwy. Ostatecznie jednak po wielu nadludzkich wysiłkach udało się załodze podprowadzić szalupę dosyć blisko, aby móc przekonać się o wstrząsającym dramacie, którego teatrem była maleńka wysepka. U brzegów pływały szczątki jak po rozbiciu okrętu. Kiedy podczas odpływu poziom wody się zniżył, ujrzano obok wysepki sterczącej z morza kadłuby dwu okrętów. Cała wysepka, mierząca 50 mtr. wzdłuż i 8 mtr. w szerz pokryta była chmarą wielkich szczurów okrętowych. W takich warunkach nie było mowy o wylądowaniu. Szalupa udała się do portu i powróciła zaopatrzona w zapasy trującego płynu i gazu i sikawki strażackie, z których skierowano prąd trującej cieczy na szczury. Stada ich schroniły się do wnętrza latarni już i tak pełnej innych chmar.



Wewnątrz wieży znaleziono szkielety trzech strażników, ogryzionych doszczętnie. U stóp latarni na skale walały się szkielety trzynastu innych ofiar, pożartych przez żarłoczne zwierzęta. Ze wszystkich szczegółów jak również z kilku słów, nakreślonych w ostatniej chwili na murze ręką jednego ze strażników, udało się odtworzyć cały przebieg okropnego dramatu. Poprzedniego dnia o świcie załoga latarni ujrzała dziwne manewry jakiegoś statku, który to zbliżał się do latarni to znów oddalał. Jako wytrawni marynarze, strażnicy zrozumieli po krótkim czasie, iż okręt jest opuszczony przez załogę, ale na razie nie mogli sobie zdać sprawy z jakiego powodu. Silniejsza fala rzuciła statkiem o skałę, rozbijając go na miazgę, a wtedy trzej strażnicy zrozumieli z przerażeniem, dlaczego statek został opuszczony. Z rozbitych szczątków nieprzebrane tysiące szczurów rzuciły się wpław ku wyspie. W nocy latarnia nie została zapalona i to spowodowało rozbicie drugiego statku „Albert Niffert“, holenderskiego okrętu z Rotterdamu. Rozbitki, którzy ze statku schronili się na skałę, ulegli temu samemu losowi. Kiedy załoga pierwszego okrętu, która wolała, prawdopodobnie na pełnem morzu ratować się ucieczką przed szczurami, da znać o sobie, będzie można dowiedzieć się dalszych szczegółów z tej rzadkiej w dziejach morskich katastrofy.

Katastrofa światowa. Sławny pisarz angielski Conan Doyle przepowiada ogromną katastrofę, która tak wstrząśnie całym światem, że świat ten opamięta się wreszcie. Ta nowa katastrofa będzie o wiele groźniejszą od wojny światowej. Wszelkie religje przestaną wówczas istnieć, a ludzie będą wówczas obcować z wyższymi duchami, zaś wszystkie narody będą miały wspólną podstawę wiary. Chrystus w ludzkiej postaci zejdzie na ziemię. Najbliższa przyszłość — powiada Conan Doyle — przedstawia się w posępnych barwach, ale ta burza, która nadejść musi, oczyści powietrze. Świat musi przejść przez okres nieszczęść i zamieszania, zanim nadejdzie epoka odpoczynku. Ten okres chaosu jest już bliski.

RZECZY CIEKAWE.

Pocałunki u różnych ludów.

Pocałunek pocałunkowi nie równy, wiemy to z własnego doświadczenia. W każdym wypadku polega on jednak u nas na przyłożeniu ust do ciała cudzego i zatrzymania ich przez tak długi czas, jak tego rodzaj pocałunku wymaga. Tak całują wszyscy Europejczycy, a sposób ten przyjęli od nas również Amerykanie.

Czerwonoskórzy Indjanie natomiast zastępują pocałunek, dotykając się wzajemnie policzkami i przymykając oczy. Papuasi i Maori silnie pocierają się nosami, szczerząc przytem zęby. Patagończycy kładą sobie dłonie na głowę i mlaszczą ustami. Eskimosi, Mongołowie Centralnej Azji i Japończycy przykładają nosy do policzka całowanej osoby i wdychają jej zapach, wciągając powietrze mocno zaciśniętemi ustami. Chińczycy, Annamici, Sjamczycy przyciskają się czołami i głęboko zaglądają sobie w oczy. Murzyni, żyjący pomiędzy zwrotnikiem Raka a równikiem, przyciskają nosy do skóry całowanej istoty i pocierają nim, wydając basowe mruczenie. Zulusi i Kafrowie całują tak, jak Europejczycy, lecz w ten sposób, że wydają ustami dźwięki, zbliżone do świergotu ptaków. Arabowie całują swoje palce, dotykają ręki lub policzka kochanej istoty, poczem znowu całują swoją dłoń. Małpy szympanse, orangutani i pawjany całują tak, jak biali ludzie, inne niższe gatunki — liżą, jak psy lub koty.

Takie są rodzaje pocałunków.

Po czem poznać wiek człowieka?

Doktor Mueller podaje następujące wskazówki dla określenia wieku ludzi.

Ważnym punktem jest tu powłoka tłuszczu. Pełne policzki dzieci nadają charakterystyczny wyraz ich twarzom. Około dwudziestego roku powłoka tłuszczu przesuwa się ku dołowi, a w późniejszych latach gromadzi się także w karku, na biodrach i na brzuchu, więc po kształcie figury można poznać wiek dojrzalszy.

Skóra jest u dziecka miękka i elastyczna. Z początkiem trzydziestego roku ukazują się „gęsie łapki" w kierunku od skroni do kątów ócz. W tym samym czasie tworzą się też czasem zmarszczki między nosem a ustami. Z wiekiem cała twarz staje się pomarszczona. Gra tutaj wielką rolę dziedziczność i rasa, a także sposób życia. U chłopców i żeglarzy, którzy ciągle przebywają na powietrzu, tworzą się zmarszczki wcześniej.

Również kolor twarzy zależy od wieku. Cera młodej dziewczyny wygląda jak „krew z mlekiem". U trzydziestoletniej kobiety widać już nad górną wargą i około skroni żółtawe plamy. Twarz starca ma wyraźnie żółto-brunatny odcień. Około roku czterdziestego powstają małe rozszerzenia żył na nosie i policzkach, powodując czerwone plamy

Około oczu tworzą się zmarszczki bardzo wcześnie. Czasem tworzą się woreczki pod oczyma, co bardzo postarza. Szeroka i żywa źrenica u dzieci z latami zwęża się do rozmiarów główki od szpilki. Młodzieńczy „ogień" w oczach ustępuje miejsca spokojnemu lub zmęczonemu spojrzeniu. Wskutek zmętnienia soczewki, źrenica przybiera odcień szary.

Podobnie jak trudno jest określić ściśle wiek człowieka, tak jeszcze trudniej jest walczyć z nadchodzącą starością. Bezradna jest wiedza lekarska wobec praw natury, które powodują starzenie się i zamieranie komórek ciała. Organizm zwierzęcy ginie, ale człowiek odradza się w dzieciach i to jest jego większą pociechą, niż wszelkie „sztuczne odmładzanie".

Alarmy z trumny.

Wypadki pochowania żywcem zdarzają się obecnie bardzo rzadko, natomiast w wiekach ubiegłych, kiedy wiedza lekarska stała jeszcze na niskim stopniu rozwoju, trafiały się niejednokrotnie. Szereg zgrozą przejmujących faktów skłaniał ludzi tchórzliwych do zabezpieczenia się zapomocą najdziwaczniejszych sposobów przed możliwością strasznej śmierci w zamkniętej trumnie. Z końcem osiemnastego wieku zaprowadzono wreszcie „urzędową" obserwację zmarłych. W roku 1795 zbudowano pierwszą publiczną kostnicę, w której ustawiono w specjalnej obszernej sali wielce osobliwą i skomplikowaną machinę. Składała się ona z dwuramiennej dźwigni, względnie belki, przymocowanej do żelaznego trzonu, wbitego w podłogę. Koniec jednego ramienia przechodził przez ścianę, sięgając izby wartownika. I tam połączony był z przyrządem alarmowym. U końca drugiego ramienia dźwigni, przytwierdzonych było dwadzieścia jedwabnych sznurków, z których dziesięć zaopatrzonych w naparstki, zaś reszta w szczypczyki. Naparstki nakładano nieboszczykowi na palce u rąk, a szczypczyki przytrzymywały palce u nóg. Przy najmniejszem drgnięciu trupa wrażliwy aparat powodował natychmiast odezwanie się dzwonków alarmowych. Zabezpieczenie tego rodzaju przed możliwością pochowania żywcem było niesłychanie kosztowne i dlatego dostępne tylko dla ludzi zamożnych. Obecnie po zaprowadzeniu przymusowego stwierdzenia śmierci, wszystkie te dziwaczne środki ostrożności stały się najzupełniej zbyteczne.

Stuczne kamienie.

Różne są kamienie drogocenne nie tylko co do swej wartości, lecz i barwy, kształtu oraz t. zw. ogni, różne więc też są sposoby wyrabiania tych kamieni sztucznych.

Djamenty udało się otrzymać niejakiemu Moissanowi; potrafił on skrystalizować drobniutkie kryształki; drogą nagłego ochładzania roztopionego żelaza, nasyconego węglem. Kryształki te są jednak zbyt mikroskopijne i nie nadają się wcale do zastosowania w handlu. Fabrykacja sztucznych rubinów prowadzona jest dwojako: jedni tworzą rubiny sztuczne większe drogą łączenia drobniutkich rubinów prawdziwych; inni zaś robią je przy pomocy stapiania aluminu z chromem. Szafiry sztuczne zawdzięczają swe powstanie jednemu z pracowników instytutu Pasteura, który wynalazł sposób zabarwiania aluminu na błękitno. Od tej chwili poczęto mówić nietylko o możliwości robienia sztucznych szafirów, lecz i o prawdziwych. Lecz sztuczne szafiry są bezkształtne i mają w barwie odcień bardziej zielony niż prawdziwe. Sztuczne szmaragdy otrzymuje się w ten sam sposób, co i rubiny. Granaty sztuczne otrzymuje się drogą stapiania kaolinu z 15 razy większą ilością chloranu manganu w prądzie pary wodnej; inne rodzaje granatu wyrabia się drogą stapiania tegoż kaolinu z krzemem, chloranem wapnia i chloranem sody. Opale otrzymujemy sztucznie przez rozkładanie eteru krzemowego przy zetknięciu z wilgotnem powietrzem. Malachity sztuczne wyrabia się przez rozpuszczenie węglanu miedzi w węglanie amonjaku.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Władysław Wosnak** w S.-K.: Nadesłana nam przez Pana powieść nadaje się zupełnie do „Roli“. Rozpoczniemy jej druk po ukończeniu jednej z obecnie się drukujących. — **Jan Sowa** w D.: Największą życzliwość okazuje nam ten, kto nam jedna nowych prenumeratorów, kto rozszerza ją wśród znajomych, kto daje ją poznać w tych okolicach, gdzie ona jest nie znaną. Proszę nam wierzyć, że wydając „Rolę“, nie mamy żadnych materjalistycznych celów przed sobą. Gdyby czytelnicy mogli poznać wytężającą pracę tak wydawcy „Roli“ jak i jej redaktora, przekonaliby się, że żaden z nich nic innego nie ma na oku, tylko szerzenie oświaty wśród współbraci, tylko przynoszenie im zdrowej i godziwej rozrywki. Wszak żaden z nich nie żyje z dochodów „Roli“, ale obydwaj pracują w innych zawodach na chleb codzienny. Prenumeraty więc idą wyłącznie na wydawnictwo, a im ich więcej będzie, tem „Rola“ będzie się stawać lepszą. Że obecnie „Rola“ nie jest jeszcze taką, jakby być powinna, to widzimy to dobrze, ale na ulepszanie jej trzeba pieniędzy. Gdybyśmy je mieli, możnaby zamówić jakąś wspaniałą oryginalną powieść, możnaby powiększyć liczbę obrazków, dać jeszcze lepszy papier itd. Narazie na to wszystko pieniędzy niema, ale wierzymy w poparcie naszych Czytelników i spodziewamy się, że przy ich pomocy wiele rzeczy i w krótkim czasie da się ulepszyć za dzisiejszą cenę gazetki. Oby tylko nie było takich, którzyby nam skąpili swego poparcia! — **Wł. Reichel** w O.: Z zagadek skorzystamy, wiersze zbyt osobiste. — **Wincenty Kuglin:** Wierszyk p. t. „O Roli“ zamieścimy. — **Józef Jazwicz** w P.: Nr. 21 i 22 wysłaliśmy z całą pewnością. Nr. 23 będzie oddany i zanotowany w urzędzie poczt. do doręczenia. Po kilku dniach prosimy donieść nam czy doszedł. Cześć! — **W. Przybyłowicz** w St. S.: Za prezenta dziękujemy. M. był już drugi raz u nas. Cześć! — **E. Słowik** w R.: Prosimy o przesłanie znaczka pocztowego na odpowiedź i swój adres, gdyż w odpowiedziach redakcji pseudonimów publikować nie możemy, nie wiedząc czy dana osoba tego sobie życzy.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 31 maja b. r.

Pszenica .	60·00—61·00	Słoma długa	5·00— 5·50
Żyto . .	54·00—55 00	Ziemniaki stoł.	12·00—14·00
Owies . .	43·00—44·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	43·00—45·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Groch zwyk.	48·00 - 53 00	Mąka pszen.	93·00—95·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Władysław Maniewski).

□	☆	☆	☆	☆	■	Postać.
☆	□	☆	☆	■	☆	Przyjaciel ludzkości.
☆	☆	□	■	☆	☆	Robotnik.
☆	☆	■	□	☆	☆	Siejba.
☆	■	☆	☆	□	☆	Rodzina roślin.
■	☆	☆	☆	☆	□	Umysł w obcym języku.
☆	■	☆	☆	□	☆	Mały budynek przy domu.
☆	☆	■	□	☆	☆	Imię męskie.
☆	☆	□	■	☆	☆	Nieustannie.
☆	□	☆	☆	■	☆	Niedowiarek.
□	☆	☆	☆	☆	■	Mieszkaniec Europy.
☆	□	☆	☆	■	☆	Wspak narzędzie krawiec.
☆	☆	□	■	☆	☆	Służy do grania.
☆	☆	■	□	☆	☆	Wspak mięso.
☆	■	☆	☆	□	☆	Pomagają w pracy.

Litery umieszczone zamiast kwadracików czarnych, czytane z dołu do góry i zamiast kwadracików białych czytane z góry na dół dadzą imiona i nazwiska mężów, którzy się przyczyniają do rozwinięcia oświaty w Polsce.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Władysław Gleń z M.).

Pierwszą człek się żegna,
A drugą spożywa;
Całość piękne miasto,
Lecz jak się nazywa?

I.

(Ułożył W. Stelmach z Rz.).

Pierwsza i pierwsza w czasie świąt bywa,
Druga i pierwsza do Wisły wpływa,
Drugą i trzecią świt nam zwiastuje,
A słońce długość jego wskazuje.
Nad rozwiązanizm umysł się natęży,
Lecz wkońcu odgadnie i... zwycięży.

III.

(Ułożył Władysław Bulek z Okleśny).

Pastuch swoje krowy teraz pierwsze drugie,
Im też drugie trzecie buraki zadługie,
Na graty najlepsza pierwsza trzecią bywa,
Trzecia pierwsza znowu to łoże nakrywa.
A chociaż nie wszyscy zarobek przepili
W trzeciej drugiej wszystko przez wojnę [stracili.
Całość znów włościanie do dziś mało znają,
Choć ci, co ją znają, wielki zysk z niej [mają.

3. Zagadka.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

Choć daleka droga, lecz dla chwały Boga
Kiedy pospieszymy, ducha pokrzepimy.
Dany z woli Bożej, lecz serca zatrwoży.
Gdy się ku nam zwróci
Wszystkich nas zasmuci.

4. Układanki.

(Ułożył Władysław Reichel z H.).

I.

a, b, e, k, m, o, ó, r, s, u, z.

Używając każdej z wyżej wymienionych liter w dowolnej ilości, utworzyć 10 wyrazów brzmiących jednakowo wprost i wspak.

II.

a, a, a, b, b, k, k, ł, ł, m, m, o, o, y, y.

Z powyższych liter ułożyć zdanie tak, że składając po literze, zdanie to jest czytane wprost i wspak.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 11 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 21 „Roli“: 1. Logogryf: Stefan Żeromski, Adam Mickiewicz. 2. Szarada: Kanikuła. 3. Zagadka: Niebo. 4. Bilety wizytowe: Biuralistka, Korepetytor, Prenumerator.

Dobre rozwiązanie wszystkich zagadek w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Stanisław Matysik z K., Czesław Kozłowski z W., W. Miśniak z P., St. Kosowski z P., Florjan Ciebiera z Rz.

Nagrody wylosowali pp.: W. Miśniak z P. i Florjan Ciebiera z Rz.

Po wydrukowaniu poprzedniego numeru „Roli“ nadeszły dobre rozwiązania zagadek z 20 numeru od pp.: Jana Konopki z Z., Ludwika Paligi z K. i Piotra Wenca z S.

Wydawca: Feliks Kowalczyk.
Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

— Wiesz co, masz tak ładną żonę, że gdy patrzę na nią, to muszę sobie powiedzieć: „I nie wódź nas na pokuszenie“.

— To nic, gdybyś ją znał bliżej, to modliłbyś się: „Ale nas zbaw ode złego“...



Stary wół.

Pyta ktoś drugiego, aby go wydrwić: — Jeżeli cztery cielęta ważą 360 funtów, to ile waży stary wół?

Zapytany: — No, to niech pan stanie na wadze, wtedy panu powiem dokładnie.



Poznał.

O j c i e c : — Cieszcie się dzieci, zaprowadzę was dzisiaj do piwiarni.

M a ł y J a ś : — Dobrze ojcze, będzie cię miał kto przyprowadzić nazad do domu.

Łowy.

Mamo, mamo! Do wiadra z mlekiem wpadł szczur.

— No i cóż, wyciągnąłeś go?

— Nie, mamo. Ja tam i kota wsadziłem, żeby złowił tego szczura.



Co musi znać dobry urzędnik.

Dobry urzędnik w dzisiejszych powojennych czasach powinien znać doskonale cztery działania, a więc: d o d a w a n i e sobie cierpliwości i otuchy, o d e j m o w a n i e sobie od ust, m n o ż e n i e trosk materjalnych i d z i e l e n i e pensji między wierzycielami.



Żona: — Nie bądź tak surowym dla konkurenta Mani, przypomniej sobie, że nie byłeś rozsądniejszy, kiedy starałeś się o mnie.

Mąż: To też nie chcę, aby było aż dwóch idjotów w naszej rodzinie.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

W Administracji „Roli“ są do nabycia niektóre numera „Roli“ z roku 1912, 1913 i 1914 nie tworzące całości rocznika, które się wysyła po nadesłaniu 15 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać w liście znaczkami pocztowymi.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, którehy mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Kalendarze już wyczerpane!

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.